Nr. 31 (1645). Warszawa, 3 sierpnia 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

Polityka praktyczna.

Zdyskredytowane hasła i kierunki szukają coraz to innych masek, pod którymi mogłyby odżyć i odzyskać choć odrobinę utraconej popularności. Nie wierzmy politykom, którzy twierdzą, że nie dbają o popularność i robiąc z potrzeby cnotę, zgóry patrzą na przedstawicieli poglądów, które mają mir w narodzie. Bez popularności nie zdziała nic nawet taki polityk, który ma w ręku władzę, jeżeli wogóle bez niej do władzy dojść i przy niej utrzymać się może. Nawet dyplomacja wielkich mocarstw, zanim wystąpi z jakąś walną inicjatywą, bardzo pracowicie stara się urabiać opinję na jej korzyść. Cóż dopiero mówić o naszych warszawskich kandydatach na mężów stanu, którym się zdaje, że ich niepospolite talenty i ich wybitne powołania marnują się poprostu w narodzie, który ich ani ocenić, ani spożytkować nie może. Chcieliby przecież doskonale brać Europę na kawał, a w dyplomatycznym kuglarstwie nikłby im nie dorównał, gdyby tylko mieli odpowiednie ze strony rodaków poparcie, gdyby nie ta niedojrzałość narodu, który nie chce zrozumieć, że polityka od tego się zaczyna, by białe nazywać czarnym, a krzywe prostym i mieć cały gotowy alfabet tajemnych znaków i cyfr, do którego każdemu dawanoby osobny klucz, aby każdy coś innego wyczytał, a nikt prawdy nie wiedział.

W takich figlach politycznej mądrości usilują ćwiczyć społeczeństwo polskie nasi ugodowcy starej i nowej daty, wywołując tylko coraz silniejsze rozdrażnienie lub jawniejsze pośmiewisko udręczanych tą metodą dydaktyczną uczniów.

Obecnie w przededniu IV-ej Dumy ze zdwojonym zapałem i gorliwością zabrali się owi majstrowie od politycznego rzemiosła do zakuwania głów przyszłych wyborców i do fabrykowania nowych sztuczek kuglarskich.

„Ugoda“ jest to wyraz mający u nas zbyt smutne tradycje; nazwali się tedy jej zwolennicy „realistami“. Obecnie, gdy już wielokrotnie wykazano, że reprezentują oni kierunek raczej „utopijny“ niż realny, gdyż utopją jest łudzenie narodu, który nic niema na zbyciu i którego nikt pozyskać sobie nie usiłuje, że przez dobrowolne ustępstwa coś osiągnąć zdoła, zaczynają mówić o „polityce praktycznej“. Zapowiadają tedy, że przy wyborach do IV-ej Dumy ścierać się będą nie stronnictwa, lecz zasady: „wiara w konieczność uprawiania polityki praktycznej ścierać się będzie i mocować z przejawiającą wśród pewnych sfer chęcią zainaugurowania ponownie polityki demonstracyjnych protestów“, wróży *Słowo*, aprobując w całej pełni wywody *Gazety Warszawskiej*, na temat dotychczasowej i przyszłej polityki polskiej w Dumie.

Polityka praktyczna! Dla ucha polskiego jakże to ponętnie brzmiący wyraz. Nasłuchaliśmy się do syta o tym, jak dalece jesteśmy niepraktycznym narodem i nic nam tak nie imponuje jak praktyczność, niczego nie podziwiamy, nie zazdrościmy w tym stopniu, za niczym tak nie tęsknimy. Praktyczne narody unikają strat, zdobywają korzyści tanim kosztem. Nam najcięższe ofiary, najmozolniejsze wysiłki już nietylko zysku, ale nawet ulgi nie przynoszą.

Dajcie nam, dajcie czemprędzej owych mę-

żów od polityki praktycznej, może zdejmą z nas klątwę, która nad nami ciąży. Gdzież oni?

Ale tu przychodzi rozczarowanie: są to bowiem pono ci sami, którzy do tej pory kierowali polityką Koła polskiego w trzeciej Dumie. Kto nie wierzy, niech czyta *Słowo* i *Głos Warszawski*. Podobno ostatnia kadencja Dumy wykazała, że wyrabia się u nas „typ politycznych działaczów wytrwałych, mocnych i rozważnych. Miejmy nadzieję, że typ ten odżyje w IV-ej Dumie rosyjskiej bez względu na to, jakim będzie skład jej większości".

Nic dziwnego, że tą nadzieją pieszczą się ci, którzy tam byli lub tam mieli swoich ludzi, ale cóż mogą oni przytoczyć na dowód, że ich polityka miała praktyczną wartość, że była „działaniem jaknajbardziej pozytywnym" — jak ją określa *Słowo?*

Otóż jako realną zdobycz tej wytrwałości, mocy i rozwagi, ośmiela się *Gazeta Warszawska* przytoczyć zmianę formuły o wyłączeniu Chełmszczyzny nie z obrębu Królestwa Polskiego, lecz z general-gubernatorstwa warszawskiego!! Zdaje się, że redakcja stanowczo przecenia głupotę swych czytelników. Chyba nawet między prenumeratorami *Gazety Warszawskiej* nikt nie uwierzy, by pominięcie wyrazu Królestwo Polskie „gdyż takiego Królestwa wcale niema", jak mówiono w Dumie, a zastąpienie go nazwą gen. gubernatorstwa warszawskiego mogło być przez kogokolwiek uważane nie za policzek, lecz za ustępstwo dla Polaków!!

Jeżeli w obozie ugodowców utrzymuje się z tej racji mniemanie, że tylko general-gubernatorstwo uszczuplono, a Królestwo Polskie zostało nienaruszone, że stąd pokrzywdzonym jest tylko naczelnik kraju, a Polacy nie doznali żadnego uszczerbku, to chyba dlatego, że dla nich Królestwo „nie jest z tego świata", że stanowi jakąś abstrakcję, wyraz geograficzny, pamiątkę z kongresu wiedeńskiego. W takim razie nie wolno im jednak mówić o polityce praktycznej.

Cały projekt chełmski niema z praktycznością nic wspólnego. Jest on — jak twierdzą pisma rosyjskie — nie aktem, złożonym z artykułów prawa, którego wykonanie byłoby przewidziane, lecz szeregiem deklaracji, podyktowanych duchem wojowniczym, wyrazem takiej polityki, o jaką, niesłusznie zresztą, neougodowcy obwiniają swych przeciwników politycznych w kraju.

Trudno też mówić o praktycznych rezultatach polityki Koła w sprawie samorządu, zwłaszcza, że ono w tym wypadku zachowało zdumiewającą i niczym nieuzasadnioną wstrzemięźliwość i małomówność. Że „samorząd sam z nieba nie spadł", — w tym mają słuszność, boć wogóle nie spadł on wcale, gdyby zaś był przeszedł szczęśliwie przez obie izby prawodawcze, dla Koła polskiego byłby spadł z nieba, gdyż ono ze swej strony nic nie uczyniło, by ten projek prawa do potrzeb kraju przystosować, uczynić go istotnie wartościowym, praktycznym nabytkiem.

Taki, jaki wyszedł z rąk większości dumskiej, w postaci całkiem nie zachwycającej zresztą, — uwiązł w chmurach.

Jeśli w czwartej Dumie wróci pod obrady, dobrze byłoby, gdyby w nich brali udział polscy politycy całkiem innego typu, tacy — którzyby jawnie, otwarcie i wytrwale bronili interesów naszych miast, a mianowicie tych szerokich warstw ludności miejskiej, której interesa najbardziej obrony wymagają, a najbezwzględniej w obecnym projekcie pominięte zostały. Po ludziach z obozu dawnej i nowej ugody oczekiwać tego nie można.

Słowo oświadcza kategorycznie, że „dotychczasowe stanowisko polskiego przedstawicielstwa w Izbie było słusznym", gdyż nam „pozostaje tylko droga zdobywania dla siebie rzeczy niezmiernie drobnych, ale dla życia społecznego niezbędnych".

Może ludzie bliżej *Słowa* i *Gazety Warszawskiej* stojący w swoim ciasnym kółku wiedzą coś o owych drobnych korzyściach z kampanji dumskiej, ale są one chyba już tak bardzo drobne, że poza ich najbliższe otoczenie nie promieniują w społeczeństwo nie zdolne ich dostrzec przez najlepszy mikroskop a tym mniej gołym okiem i które swoim instynktem praktycznym kierowane gotowo orzec. „czego nie widzę, nie czuję, nie słyszę, tego niema". Dla niego tedy są one fikcją, mytem i na tej fikcji ma się opierać cała teorja polityki praktycznej propagowana przez entazjastów dotychczasowego Koła polskiego.

W jednym względzie tylko panom tym słuszność przyznać należy. Przyszła kampanja wyborcza, jeśli wogóle jakiś żywszy ruch wywoła, będzie starciem zasad raczej niż stronnictw. Będą się tam przeciwstawiały sobie dwa kierunki polityki, z których jeden ochrzcił się samozwańczo praktycznym, a drugi nim będzie naprawdę.

Jego punktem wyjścia będzie hasło „precz ze złudzeniami" a raczej: precz z łudzeniem kraju jakiemiś tajemniczymi korzyściami, które zakulisową robotą i osobistymi stosuneczkami z Dumą lub poza Dumą wyszachrować można. Posłowie nie są dla ludu urzędnikami do szczególnych poleceń, lecz jego przedstawicielami, zobowiązanymi jawnie, szczerze i śmiało pod kontrolą opinji publicznej wyrażać ich potrzeby, dążenia i żądania.

Nawet wedle ścisłego określenia *Czasu* każda ugoda na tym polega, by obie strony coś ustąpiły, aby coś zyskać. Rzucanie ustępstw w próżnię, tam, gdzie nic zyskać nie można, jest karygodnym marnotrawstwem sił społeczeństwa, wyczerpywanego na wszystkie sposoby.

Przedstawiciele narodu powinni reprezentować jego wolę, jego siłę i godność a nie jego

słabość, strach i pokorę, gdyż nigdy w polityce nie widziano, aby dla słabych i pokornych czyniono jakie ustępstwa, aby liczono się z tymi, którzy sami siebie w rachubę nie biorą.

Polityka i historja.

Kanclerz uniwersytetu manczesterskiego, Lord Morley, wygłosił w ciągu bieżącego miesiąca z racji obchodu Rousseau'a mowę, zawierającą ogólne uwagi o zasadniczych ideałach polityki i o stosunku tej ostatniej do historji.

Niektóre ustępy z tej mowy, posiadające ogólne znaczenie przytaczamy tu za pismami angielskimi:

„Książka w literaturze politycznej może posiadać doniosłość czynu. Taką książką była „Umowa Społeczna".

Burke smagał imię i dzieła Rousseau z dziką zawziętością. Radował się, że w Anglji nie zdobył on takiej popularności, jaką cieszył się na europejskim kontynencie. Jak odmalował nam go Wordsworth, ścigał on go trop w trop, podglądał, oskarżał, denuncjował, ośmieszał jego system oparty na abstrakcyjnym prawie. Przeciwstawiając mu majestat instytucji i praw uświęconych przez wieki, z pogardą piętnował teorję parweniuszowską.

Jednakże Maine, najwybitniejszy z pisarzy angielskich szkoły Burke'go stwierdza, że Rousseau, nie posiadając ani wiedzy, ani siły charakteru a cnót bardzo niewiele, niemniej wycisnął na historji niezatarte piętno swej indywidualności mocą swej żywej imaginacji i gorącego umiłowania ludzkości, za które wiele wybaczonym mu zostało. To był początek wielkiej zawieruchy, która wstrząsnęła światem. Ogarnęła ona nietylko politykę, lecz filozofję, sztukę, literaturę, kościoły, wychowanie, gdyż każdy silny prąd nurtujący głęboko w polityce porusza wszystko wokoło. Z jednej strony historja, z drugiej Prawo Przyrody i Prawo Człowieka.

Idee i słowa na pozór najprostsze okazują się w następstwie najbardziej zawikłane. Ktokolwiek o tym wątpi, niechaj spróbuje rozwinąć idee Wolności, Równości, Braterstwa. Na swe nieszczęście, odkryje w nich nietylko liczne komplikacje, lecz nawet sprzeczności. Weźmy sławną formułę Cavoura. „Wolny Kościół w wolnym Państwie". Czy można znaleźć coś prostszego, jaśniejszego? bardziej melodyjny dźwięk dla ucha polityków? A jednak był on przygrywką do brutalnych, dotkliwych, chaotycznych rozdźwięków i zatargów. Najkompetentniejsze powagi stwierdzają, że istnieje 200 definicji wolności. Nawet święte imię opinji publicznej rzuca niejeden cień ponury.

Jeden z pisarzy w dziedzinie prawa państwowego, w którym uczoność nie zabiła dowcipu, a ani prawo ani polityka nie wykluczają humoru — twierdzi, że opinja parlamentu jest opinją dnia wczorajszego, a opinja sądownictwa opinją onegdajszej doby.

Sędziowie bowiem opierają się na precedensach i przestarzałych wzorach interpretacji prawa, podczas gdy parlament stanowi prawa, podatki, reguluje stosunki zagraniczne pod upływem zewnętrznych prądów, a owe przypływy i odpływy politycznej fali zdają się podlegać działaniom jakiegoś zmiennego księżyca.

W polityce sąż to głosy wyborców? A te czyż nie są tylko oddźwiękiem wstępnych artykułów w kierowniczych organach prasy?

Nie sądźmy, aby teoretyczne roztrząsania kwestji państwa w jego rozlicznych stosunkach do jednostki miały tylko akademickie znaczenie. Utrzymują, że odpowiedzialność za obecny rozwój syndykalizmu we Francji spada na tych francuskich pisarzy, którzy zwalczali niemieckie teorje państwowości w francuskiej trawestacji.

Pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że w waszej imponującej liczbie kursów i wykładów jest miejsce na ustanowienie nowej katedry. Jej zadaniem byłoby zaprowadzić ścisłość w terminologji politycznej, przestrzegać jej w omawianiu wielkich spraw narodowych i międzynarodowych, systematycznie badać historyczne pochodzenie współczesnych kwestji, strzec oklepanej lecz zbyt często zapominanej prawdy, że zgrupowanie wielkiej liczby ludzi do obrony pewnego poglądu nie wystarcza, by go uznać za trafny i prawdziwy, pilnować konsekwencji i ładu w traktowaniu zagadnień politycznych. Gdyby mi pozwolono taką katedrę stworzyć, nazwałbym ją katedrą polityki. Polityka w moim rozumowaniu jest zupełnie odrębną od prawa, gdyż prawo zmierza do tworzenia stereotypowych idei, wciskając je w szablon ustalonych kategorji, natomiast zadaniem wiedzy politycznej jest ciągła rewizja tych szablonów dla badania, czy i w jakiej mierze odpowiadają one współczesnym faktom. Wiedza polityczna sięga dalej niż nauka prawa, zaczyna się ona tam, gdzie prawo kończy. Jest natomiast mniej rozległą niż socjologja, gdyż dla niej punktem wyjścia jest istnienie współczesnego państwa z jego wszelkimi prawami, powinnościami i władzą.

Słusznie w 1772 roku ostrzegał Burke Europę, że Polska jest tylko śniadaniem dla wielkich uzbrojonych mocarstw, lecz któż wie, gdzie one obiadować będą. „Mimo całą naszą miłość spokoju, wołał, mimo wszystkie nasze zabiegi, by go utrzymać, niestety, biedny pokój!" I słusznie jeden z współczesnych historyków zaznacza, że podział Polski byłby mógł być dziełem rozumu politycznego, gdyby się był zatrzymał na 1772 roku, ale historja nie zatrzymuje się nigdy, a oto 20 lat później Europa znalazła się w wirze rewolucyjnych walk, które trwały aż do Waterloo.

Tak jest; historja nie zatrzymuje się nigdy. Jeśli hołdujecie teorji, że każdy fakt sam siebie usprawiedliwia, że fakt i jego racja bytu są jednym i tym samym, że realne i racjonalne są to pojęcia identyczne, że siła i prawo są równoznaczne, to zapytajcie się naprzód, czy znacie już wszystkie fakty w całej ich pełni rozciągłości i trwałości?

Czy istnieje nić przewodnia dla orjentowania się w wirze wypadków światowych? Czy prąd dziejowych wydarzeń płynie naprzód?

Historję w jej ogólnym pojęciu porównywano nieraz do łańcucha górskiego, gdy patrzącym zdaleka rysuje się na czystym niebie. Szczyty jego wydają się złączone jedną linją profilu, biegnącą przez najwyższy grzebień górski. Pewien genialny i uczony pisarz współczesny rozwinął tę samą myśl w porównaniu historji do podmorskiego łańcucha gór wulkanicznych. Szczyty tylko wynurzają się z powierzchni fal, stanowiąc szereg wysp, a jedynie z lotu ptaka oglądane, tworzą zjednoczoną całość, nie zaś w oczach żeglarza, który krąży w około ich brzegów i za-

tok. Żeglarzem jest polityk. Historyk, o ile nie jest pogrążony w poszczególnych badaniach, nie zapuszcza się w zakątki dolin, wąwozów i stoków zajmuje stanowisko ptaka w locie.

Wielu ludzi, a między nimi najmędrsi i najdzielniej zasługujący się ludzkości, wierzą, że postęp jest takim powszechnym i niewzruszonym prawem rodu ludzkiego jak prawo ciążenia w świecie materji. Prawem powszechnym dla wszelkich epok, wszelkich państw, społeczeństw, nie jest on bynajmniej. Nawet dla nas samych nie po jednej stronie tylko jest słuszność i bezapelacyjny autorytet. Dla orłów i sokołów, które śledzą bieg historji, cała różnica polega tylko na załomach i odległościach.

Nasza znajomość przyrody w materjalnym świecie wzrasta nieustannie, posiadamy coraz więcej władzy nad jej siłami; ludzkość rozrosła się, rozmnożyła i ogarnęła całą powierzchnię globu, życie trwa dłużej, siła i wytrzymałość rodu ludzkiego zwiększyła się, nie osłabła. Prawo międzynarodowe, choć najważniejsze jego rozdziały dopiero napisać należy, posunęło się bardzo naprzód od czasu, gdy Grotius pisał swe wiekopomne dzieło. Wybaczcie mi, że wymienię znienawidzony wyraz, ale klątwą przemysłowego systemu jest niepewność, a oto zasadę ubezpieczenia rozszerzono na wszelkie rodzaje ryzyka w ciągu ostatnich lat 50-ciu i jest to obecnie jeden z najsubtelniejszych międzynarodowych czynników, wiąże najodleglejsze interesy i tworzy tysiączne wzajemne zobowiązania. Pewien ułamek ludzkości osiągnął wyższą skalę wygody i dobrobytu. Przez tysiąc lat, jak mówi Michelet, Europa była nieumyta. Na szczęście w obecnym czasie nie można by już tego twierdzić bez zastrzeżeń. Ale niestety i w tej materjalnej dziedzinie przewidywać można niejedną zaporę do nieustannego postępu. Nie są niewyczerpane ani pokłady węgla kamiennego, ani źródła nafty, ani podziemne zapasy żelaza. Potężne państwa niknęły jak meteory. Rzym nie jest jedyną osieroconą matką zmarłych królestw, jak się wyrażał Byron.

Gwiazda wielkości i potęgi wschodzi i zachodzi w narodzie zależnie od tego, jaki odsetek jego ludności składa się z mężczyzn i kobiet, obdarzonych odwagą, energją, wolą, otwartą, subtelną i podatną na wpływ wykształcenia inteligencją, oraz od ich umiejętności spożytkowania tych przymiotów i wcielenia ich w czyny.

Jeśli, wedle pamiętnego zdania Carlyle'a, naród składa się z tylu a miljonów głupców, a ci, którzy nie są głupcami, milczą, wówczas istotnie położenie jest rozpaczliwe. Zanim jednak poddamy się zwątpieniu, starajmy się upewnić, że nasza polityczna arytmetyka i algebra jest bez błędu.

J. Tarczewski.

PROTEST.

Wszczynanie walk religijnych i wskrzeszanie w XX stuleciu średniowiecznego fanatyzmu potępiamy, jako zbrodniczy zamach na zdrowy rozwój narodu i najcenniejsze zdobycze kultury.

Łączymy przeto nasze głosy w gorącym proteście przeciw nagance duchowieństwa na „Zaranie", a naszym wyklętym braciom z ludu ślemy wyrazy współczucia, otuchy i solidarności.

8) (Ciąg dalszy podpisów)

Z Lodzi: Wacław Żarnowiecki, Wł. Gutkowski, Leon Menczyński, Lucjan Lipiński, Adam Górecki, Aleksader Kubecki, Bolesław Wiśniewski, Jan Garlikowski, Ljana Garlikowska, Stanisław Jakubczak, Bolesław Słuikowski, Franciszek Walerysiak, Albin Nikiforow, R. Grajer, Józefa Iżykowska, Zofja Kołodziejczak, Marja Michalak, Władysław Kołodziejczak, Dębowski Józef, Eduardo Kler, Henryk Śliwiński, Zofia Lemińska, Rodz. cała Zielińskich, Henryk Gawroński, Stanisław Książek, W. Stasiak Wincenty Sławiński, Wład. Kral, St. Lisicki Al. Nowakowski, W. Wżeliński, Edward Nowak, Franciszek Broma, Piotr Stopczyk, Andrzej Bciks, Władysław Wiśniewski, Genowefa Wiśniewska, Janina Wiśniewska, J. Ciszewski, Wanda Krysiak, Dominik Gać, Anna Gać, Krysztof Bżeżok, Józef Zieliński, Apolonja Biegańska, Leon Obląkowski, Józefa Obłąkowska, Antoni Biegański, Józef Gać, Leon Studziński, Stanisław Lenartowski, Władysław Grabowski, Wanda Kostrzewska, Stefan Lenartowski, Leon Reusch, Jan Woszczyk, Wincenty Andrzejewski, Karol Reinhold, Albert Reinhold, Józef Bakes, Antoni Filipiak, Ignacy Buda, Adolf Heimann, Paweł Wilczyński, Stanisław Widawski, Regina Bakes, Helena List, Franciszek Kostrzewski, Leon Kowalski, Klara Kowalska, Franciszek Wiśniewski, Leopold Lebelt, A. Muszka, Gustaw Hazer, I. Skibniewski, J. Thiele, Ludwik Werdziński, J. Bzdrągowski, J. Rydel, Grabski, A. Rist, A. Moszyński, K. Rajnold, J. Szefrański, R. Felbe, S. Dąbrowski, I. Grinine, Adolf Glazer, F. Otto, Osker Lebelt, Józef Ostrowski, Franciszek Gorzka, Jozef Kuczewski, Anna Kuczewska, Paweł Wipiewski, Antoni Ostrowski, Wincenty Ostrowski, Józefa Ostrowska, Wincenty Radzikowski, Antoni Grelewicz, Agnieszka Grelewicz, Tekla Nowosielska, Michał Bieniak, Franciszka Jesiołowska, Klotylda Adamczyk, Józef Chruścik, Józef Wolski, Stanisław Kowalski, Bolesław Drymer, St. Chruścik, Józef Różycki, Roman Staszewski, Jakób Różycki, Jan Różycki, Bronisław Doroczyński, Józef Skórka, Marcin Różycki, Władysław Borkowski, Walenty Szymczak, Józef Szlakowski, Stanisław Pyłka, Franciszek Szymczak, Stanisław Ruzalski, Stanisław Rutkowski, R. Szymczak, W. Grubski, Ignacy Telecki, Józef Pietrzyński, Juljan Deszyński, Ignacy Baranowski, Kazimierz Walkowski, Leopold Zakrzewski, Feliks Jedynecki, Helena Grubska, Stefan Grubski, A. Szymczak, J. Maćkowiak, M. Barczyk, A. Mazurek, Władysław Stolarsz, I. Zamierka, Z. Kapusta, F. Wieczorkowski, W. Wieczorkowska, L. Marks, M. Łukomski, W. Włodarczyk, W. Kwietniewski, M. Kwietniewska, Janiszewski, Gibczyński, Szturc, P. Bału, W. Obrębski, W. Tomaszewski.

Z Garwolina: Jan Zalewski, Ludwik Sekuła, Piotr Sosnowski, Władysław Gora, Filip Trzmielewski, St. Ziółek, A. Czaplarski, Jozef Ziółek, Lucjan Dobrzański, Kazimierz Dobrzański, A. Lewicki, Edmund Jerzy Kozłowski, Edmund Marjan Kozłowski, Ewelina Kozłowska, Józef Mikulski, Piotr Mikulski, Józef Zalewski, Józef Lusawer, Jan Piek, Franciszek Krzyśpiak, Antoni Michałowski, Stanisław Zieliński, Małgorzata Kotówna, Walery Kuracz Stanisław Dębicki, Michał Mucha

St. Poraj, Andrzej Koter, Tomasz Koter, Ant. Srzedziński, Franciszek Matraszek, Władysław Jasiocha, Jan Ćwikła, Paweł Koter, Zozofia Gorczyczanka, Józef Głos, Jan Miazga, Józef Wiejak, Andrzej Kaplon, Weronika Noworolnikówna, Jan Jasioka, Andrzej Pruchniak, Wojciech Bartuzi, Małgorzata Bartuzianka, Walenty Sikora, Ignacy Habrosz, Michał Kaplon Ignacy Jasiocha, Michał

Kozak, Klemens Wójcik, Jan Wróbel, Szymon Polak, Jan Tnikaj, Ludwik Wójcik, Andrzej Habog, Michał Sulej, Michał Ścibor, Szymon Koput, Józef Cieślik, Marjanna Ścibor, Wincenty Koput, Jan Koput, Agnieszka Cieślik, Stanisław Ścibor, Michał Cieślak, Kazimierz Krawczak, Franciszek Wójcik, Ignacy Głos, Wysocki Michał, Kijewski Piotr, Jan Mika St. Lenc, Łankowski, F. Taracha H. Chmielewska.

Z Nałęczowa: Antoni Srzedziński, Jan Witkiewicz Henryka Witkiewiczowa, Stanisław Maciążek, Franciszek Figura, Józef Wójcik, Franciszek Lewandowski, Tomaszuk, Onufry Nadstawny, Teofil Adacz, Helena Adachówna, Wincenty Popiołek, Władysława Popiołkowa, Władysław Popiołek, Paweł Wójcicki, Stanisław Zielonka, Felicja Sułkowska, Józef Dromlewski, Władysław Drzewecz, I. Oreszczyński, Mateusz Pekuła, Katarzyna Pe-[illegible]

Z Bochlnicy: Ignacy Jarnuga, Franciszek Wójcicki, Ignacy Wójcicki, Władysław Roztoin, F. Pawlak, I. Banylski, W. Maciążek.

Z Chorza: Szczepan Litwiński, Szymon Sobczak, Antoni Pietroń, Jan Pietroń, Jan Litwieski Antoni Borawski, Mateusz Wziątek.

Z Ludwinowa: Michał Nowak.

Moda.

Szkic społeczno-polityczny.

(Ciąg dalszy).

A oto drugi przykład, nam bliższy.

Dnia 26 Maja 1861 r. młodzież w Ogrodzie Saskim w Warszawie zrzuciła cylindry z głowy i podeptała je nogami, przywdziewając natomiast bardziej demokratyczne czapki lub krótkie z okrągłem dnem kapelusze. Za ich przykładem poszli prawie wszyscy mieszkańcy stolicy, tak, że wkrótce tylko na głowach cudzoziemców można było widzieć wysokie kapelusze przezwane pogardliwie „rurami". Ci Polacy, którzy nosili rury, narażali się na różne nieprzyjemności na ulicy. Kij, czasem kamień padał z kąta na rurę, a dowcipy i przycinki spotykały śmiałka, co lekceważył skromne ubranie głowy.

Agaton Giller, z którego czerpiemy opis powyższy, taką kończy go uwagą: „Jak pokój, tak wojna, rewolucja i ruch ma swoje mody. Jedność kierunku politycznego wyraża się w czasach rozegzaltowanych nie tylko we wspólnem dążeniu, ale także i w jednakowym ubiorze. Zrzucenie kokardy narodowej lub też przyjętego ubioru, uważane bywa za protestację przeciwko woli ogółu, i za opuszczenie powszechnego pędu i jako takie ulega prześladowaniu". [9])

Wreszcie dla illustracji naszego zagadnienia posłużyć może tak głośna niedawno, sprawa jupes—culottes. Czy modę tą wynalazł krawiec taki czy inny, nie ulega wątpliwości, że myśl podobna nie mogła by się zrodzić przed laty pięćdziesięciu lub więcej.

Nie jest to bynajmiej przypadkiem, że powstała ona wtedy, kiedy kobiety we wszystkich prawie krajach prowadzą tak energiczną walkę o swe równouprawnienie i kiedy nikt już nie wątpi, że zwycięztwo ich w tej walce jest tylko kwestją czasu.

Reforma stroju kobiecego jest oddawna przedmiotem bacznej uwagi działaczek na polu emancypacji.

Pani Dieulafoy, która towarzyszyła mężowi w podróżach w stroju męzkim, zdobyła, jak świadczy Gomez — Carillo liczne wielbicielki.

„Spódnica, mówiły one, jest oznaką niewoli kobiety. W spódnicy nie można stworzyć nic wielkiego. Mężczyźni nam je narzucają, tak, jak jarzmo wołom". [10])

Badacze strojów od dość dawna przewidują możliwość zwrotu, który w ostatnich czasach wywoływał na ulicach miast europejskich zbiegowiska tłumu, oburzonego nową formą odzieży żeńskiej.

„Od niedawna zaledwie, pisze Ludwik Bourdeau, znakomity badacz i autor wielu dzieł z dziedziny historji kultury, kilka niepodległych kobiet, marzących o zupełnem wyzwoleniu swej płci, proponuje zreformowanie spódnicy, symbolu niewoli domowej i uczynienie stroju kobiecego, przystosowanego do życia wewnętrznego, bardziej podobnym do męzkiego, przystosowanego do życia na zewnątrz. Dzięki pobłażliwości mody, kobiety noszą już nasze żakiety i kamizelki; istotną wszakże i najtrudniejszą reformą, było by włożenie spodni, na znak równości, jeżeli nie przewagi. Reforma ta, która w życiu kobiety, stanowiła by przewrót głębszy, niż wszystkie przewroty przeszłe, nie ma szans powodzenia, dopóki kobieta nie zdobędzie równouprawnienia cywilnego i politycznego". [11])

Jest to jedynie trafne ujęcie sprawy. Nowy strój kobiecy, jeżeli wzbudził protesty tak energiczne, to wszak nie ze względów moralnych, estetycznych, lub jakichkolwiek innych względów uzasadnionych i rozumnych, z temi bowiem względami strój, szczególniej kobiecy, nigdy się nie liczył i nie liczy. Jeżeli ludzie znieśli *vertugadins, paniers*, krynoliny, dzwonki i trzewiki *à la Pontaine*, fryzury na trzy stopy wysokości i kapelusze, dochodzące do całego metra średnicy, to dla czegóż nas tak dziwią lub oburzają jupes — culottes? W towarzystwie tych wszystkich dziwactw, które tworzyła i tworzy moda, doprawdy, nie byłyby one jeszcze najgorsze.

To też źródło protestu przeciwko nim jest inne. Przedewszystkiem, to ich nowość, przewrót w obyczajach, niezwykły widok, do którego wzrok nie jest przyzwyczajony.

Jest to stały powód niechęci przeciwko każdej nowości, musiałyby więc jupes-culottes w każdym razie wytrzymać ataki ze strony tłumu. Tembardziej zaś narażone są na nie, że symbolizują równouprawnienie kobiety dotychczas nie wcielone w życie. To jest główny powód protestu.

Nie wchodząc w to, jaka przyszłość czeka nową formę odzieży kobiecej, sposób, w jaki została ona przyjęta i chwila w której zaczęto ją propagować, świadczy, jak ścisły istnieje związek pomiędzy modą, a stanem duchowym i politycznym danej epoki, dowodzi, że moda nie jest objawem przypadkowym i dowolnym, nie jest objawem twórczości czy kaprysu jednostek, ale wypływa z ducha swego czasu, w ścisłym jest związku z całokształtem jego myśli, uczuć i dążności.

[9]) Agaton Giller. Manifestacje Warszawy 1861 r. Stanisławów 1910. str. 54.

[10]) E. Gomez-Carillo l. c. e. str. 155.

[11]) Louis Bourdeau. Histoire de l' habillement et de la parure. Paris 1904, str. 219.

I tak, jak paleontolog na zasadzie jednej lub kilku kości odtwarza cały szkielet zaginionego zwierzęcia, jak lingwista na podstawie pierwiastków wyrazów odkrywa tajemnice pokrewieństwa narodów, ich bytu pierwotnego i wędrówek, tak samo na podstawie panującej mody, można odtworzyć duchowe i społeczne oblicze danej epoki.

A jednak to tak ważne zjawisko społeczne w literaturze polskiej nie doczekało się rozbioru, chociaż, jak się przekonamy, ma ono dla nas większe znaczenie, niż dla jakiegokolwiek innego narodu. I ten wzgląd właśnie skierował moją uwagę na ten przedmiot, zniewolił do jego badania. W naszem życiu społecznem i politycznem jest mnóstwo faktów, do których wyjaśnienia znacznie przyczynić się może rozbiór tego tak ważnego, a tak lekceważonego zjawiska — mody. Gdy jednak tak rozległe ogarnia ona kręgi, badania jej we wszystkich objawach znaczne przedstawiałoby trudności i nad miarę rozszerzyło ramy pracy niniejszej. Za faktyczną więc podstawę badania weźmiemy najpopularniejszy objaw mody — strój. Posiada on wszystkie jej cechy, to zatem, co o modzie nauczy nas ubranie, zawierać w sobie będzie cechy ogólne mody, wystarczy więc zupełnie dla naszego celu.

II. Cel mody.

Sprowadziliśmy zatem nasze zagadnienie do pytania: jakie znaczenie ma moda w dziedzinie stroju? Wszechstronny wszakże rozbiór nawet tego pytania nie leży w naszych zamiarach. Modnie wystrojona dama nie przypuszcza zapewne, ile złożonych zagadnień psychologicznych, estetycznych, hygienicznych, społecznych nosi w fałdach swej sukni i pod skrzydłami swego olbrzymiego kapelusza. Otóż nie mam bynajmniej zamiaru analizować wszechstronnie tej modnej damy.

Pozostawiam artyście gromy, które rzuci zapewne na dziwolągi i skandale estetyczne wszystkich dotychczasowych strojów, szczególniej kobiecych, hygieniście oburzenie na szkodę, którą kobietom i ich dzieciom wyrządzają niewygodne i krępujące przyrządy, stanowiące nieodzowną część toalety kobiety cywilizowanej. Pozostawiam moraliście rozważanie wpływu, jaki na jej duszę wywieraześrodkowanie całej uwagi na ozdabianiu ciała i nieuniknione stąd współzawodnictwo z innemi kobietami, ciągła chęć zwracania na siebie oczów i nieustanna myśl o tym; rozważanie pustki duchowej, próżności, zawiści i tych wszystkich spustoszeń, które w duszy indywidualnej i w duszy zbiorowej, sprowadzają tak niewinne na pozór koronki i jadwabie.

Pozostawiam ekonomiście badanie szkodliwego wpływu mody, jako jednego z objawów zbytku i marnotrastwa dobra narodowego, jako źródła fałszywego kierunku wytwórczości i niesprawiedliwego podziału bogactw.

Nie te zagadnienia zajmą moją uwagę.

Nie będę wyliczał tutaj grzechów mody przeciwko smakowi estetycznemu, zdrowemu rozsądkowi i moralności, nie będę potępiał jej artystycznych dziwolągów, jej rujnujących skutków ekonomicznych, jej demoralizujących wpływów, jej szkodliwości dla zdrowia fizycznego i moralnego.

Wogóle nic nie będę potępiał, zastrzeżenie bardzo ważne, kiedy mowa o modzie, była ona bowiem wyłącznie prawie przedmiotem drwin i wymysłów. I ludzie przyzwyczaili się do tego, że na modę można tylko sarkać, chociaż wszyscy jej ulegają. Jeżeli jednak potępianie wogóle, jako morał społeczny, jest rzadko użyteczne, to potępienie mody stanowiłoby bezcelową stratę czasu.

Wyszła ono zwycięzko z walk, które wytaczały jej wszystkie religje i wszystkie prawodastwa, przeszła z tryumfem przez bicze wszelkich możliwych drwin, satyr i karykatur; nie ugięła się ani przed rozwojem wiedzy, ani przed wzrastającą potęgą ducha ludzkiego, ani przed ideałami społecznymi naszych czasów.

Kroczy dziś, jak przed wiekami, potężna władczyni świata cywilizowanego, w niebywałym przepychu sił i blasku, i żadne papierowe grzmoty porażki jej nie sprowadzą, ani nie przyspieszą.

Nie będę więc powiększał ilości chybionych strzałów, a zajrzę w oczy temu Molochowi, pochłaniającemu krocie ofiar, bez wszelkich uprzedzeń, z objektywnym spokojem obserwatora.

Pytania, które mi nastręcza moda, należą do do dziedziny socjologji, nauki, która nic nie potępia, nic nie zaleca, lecz tylko bada, poznaje.

Pierwszym z nich jest pytanie: dlaczego człowiek ubiera się modnie?

Ażeby na nie odpowiedzić, musimy przedewszystkim ustalić, dla czego człowiek ubiera się wogóle?

Pytanie na pozór proste, a jednak w nauce co do niego znaczne panują różnice.

Jedni sądzą, że pierwiastkowym celem ubrania jest ochrona ciała przed szkodliwymi wpływami niepogody i niebezpieczeństwami ze strony rozmaitego rodzaju kolców, cierni i t. p., które ciało pokaleczyć lub uszkodzić mogą [1]).

Inni uważają to za pobudkę drugorzędną, rolę zaś czynnika pierwszorzędnego według nich grało tutaj uczucie wstydu [2]).

Inni za zasadnicze źródło ubrania uważają chęć ozdobienia się: są, powiadają, narody, które się nie ubierają, ale nie ma takich, któreby się nie ozdabiały, co zresztą konstatował już Seneka, nazywając człowieka *animal elegans*.

Wreszcie istnieje pogląd, który cel ubrania widzi w kokieterji kobiety. Prawdziwy cel ubrania, mówi Gomez-Carillo, to zakrycie wdzięków, aby je tym lepiej uwydatnić, i przytacza zdanie pani Mardrus: „kobieta naga jest pięknym posągiem, aby ją zrobić pożądaną, trzeba ją ubrać“ [3]).

Nie będę wchodził w szczegóły tego sporu i gotów jestem zgodzić się z tymi, którzy jak np. Bourdeau przyznają wszystkim wzmiankowanym czynnikom znaczenie równorzędne. Pozwalam sobie dla tego spór ten pominąć, że ani potrzeba zabezpieczenia się przed wpływami zewnętrznymi, ani uczucie wstydu lub względy moralne, ani chęć ozdobienia się, lub kokieterja, nie są w stanie wytłómaczyć, dla czego ludzie ubierają się jednakowo, i dla czego w tym naśladownictwie idą za tymi, a nie innymi wzorami i t. j. dla czego ludzie ubierają się według pewnej mody.

Wszak dla zabezpieczenia ciała wystarcza ubranie ciepłe i nieprzemakalne. Względy moralne zaspokoi zupełnie dostatecznie pokrycie ciała, bez względu na krój, materję lub barwę ubrania. Chęć ozdobienia się i kokieterja wskazywałaby raczej indywidualizację odzieży, przystosowanie jej do budowy ciała, koloru włosów

[1]) Bourdeau l. c. str. 1.

[2]) Heinrich Schurtz. Grundzüge einer Philosophie der Tracht. Stuttgart 1891. str. 6.

[3]) Gomez-Carillo l. c. str 157.

i cery twarzy. Niejedna dama daleko lepiej uwydatniła by swą urodę np. w stroju włościanki z łowickiego lub krakowskiego, niż w modnej toalecie. A jednak ubiera się modnie! Dlaczego?

Z liczby pobudek mody musimy wyłączyć jeszcze żądzę zbytku, użycia. Nie ulega wątpliwości, że ubranie samo przez się, nie dostarcza rozkoszy człowiekowi, że dla tego wystarczyłoby ubranie ciepłe, wygodne, z materjału miękkiego i przyjemnego w użyciu. Zbytek, jakkolwiek często towarzyszy modzie, nie jest wcale konieczną jej cechą. Wszak można sobie wyobrazić modę skromną, i takie nawet się zdarzały, szczególniej w epokach rewolucyjnych. Więc chęć użycia, pragnienie rozkoszy również mody nam nie wyjaśnia.

Istnieje wszakże jedna jeszcze możliwa pobudka naśladownictwa w stroju, a szczególniej tego, które nosi nazwę mody.

Jest to chęć wyróżnienia się, wykazania swej wyższości siły, bogactwa, stanowiska lub też przynależności do takiej lub innej grupy społecznej.

(C. d. n.). *Józef Lange*

Przyjaciele ludzkości.

W okresie walk religijnych, kiedy ponury cień Inkwizycji padał na świat miotany szałem prozelityzmu i spływający rzekami krwi — tu i owdzie wstawali zwiastuni lepszych dni i wśród wycia rozżartych gorliwców głosili zasady tolerancji. A był wówczas indyferentyzm w rzeczach wiary poczytywany nietylko za nonseus, lecz i za zbrodnię. Dziś we wszystkich cywilizowanych krajach jest on podstawą współżycia jednostek i wyznań. Jedynie na krańcach kulturalnego świata przepis tolerancji czyli wolności sumienia pozostał martwą literą. W niczyich jednak oczach nie jest to wyjątek chwalebny, ani wzór godny naśladowania.

Ledwie z jednego wyleczona obłędu popadła ludzkość w drugi.

Jak dawniej siłą narzucano religję, tak dziś narzuca się narodowość. Zamiast zachłannych Kościołów nastały Państwa zdobywcze. Dawniej ogniem i mieczem tępiono wyznania obce, dziś wszelkimi środkami wypiera się obce kultury.

Absurdem i bolączką naszych czasów jest nacjonalizm, operujący środkami przemocy. Obłęd wżarł się w mózgi tak głęboko, że straszliwa waśń narodów znajduje natchnionych bardów, co sławią akta przemocy, sami należąc do jej opłakanych ofiar.

Ale znaleźli się i tacy, co pragną absurdowi kres położyć i wyrwać Europę z niszczącej hypnozy „zbrojnego pokoju“. Żeby przywrócić normalny tok postępu należy równouprawnienie wyznań uzupełnić równouprawnieniem narodów.

Taki jest ogólny program pacyfizmu. Wielu traktuje go jako płonne marzenie, wytwór oderwanych zasad. Aleć wolność sumienia, długo poczytywana za mrzonkę, stała się w roku 1648-ym podstawą prawa publicznego państw Europy Zachodniej.

Z pomiędzy współczesnych *przyjaciół ludzkości*, którym ta sprawa leży na sercu, śmierć skosiła w ciągu ostatnich paru miesięcy, cztery bardzo wybitne i znane postacie. W krótkich po sobie odstępach czasu zmarli: William Thomas Stead, Jakób Nowikow, Fryderyk Passy i Anatol Leroy-Beaulieu.

Tym czterem przyjaciołom ludzkości godzi się poświęcić nieco uwagi i miejsca na łamach *Prawdy*, która nie traci nigdy kontaktu z czołową myślą zachodu.

I

William Thomas Stead.

Pośród tysiąca sześciuset ofiar *Titanic'a* nie zwrócono w naszej prasie uwagi na nazwisko, przyćmione blaskami Astorów i Strausów. A jednak śmierć Stead'a odczuł świat angiosaski na obu półkulach jako najboleśniejszą stratę.

„Stead był dziennikarzem, jako człowiek swojego wieku. Za czasów Chrystusa byłby zapewne apostołem, za czasów Lutra — twórcą nowej religji. Co uderza w tej postaci bujnej i żywiołowej, to niepohamowany rozmach twórczy, ogrom i rozmaitość środków oddziaływania. Był to niepospolicie płodny i świetny pisarz. Zrazu pisywał powieści i opowiadania dla dzieci, godne stanąć obok Andersenowskich, później fantastycznym piórem skreślił kilka książek, godnych Edgara Poe'go i Hoffmana, wypełnił w znacznej mierze 20 roczników *Review of Reviews*, wydał 15 tomów pism politycznych, a nadto kilka tysięcy artykułów rozsiał po prasie angielskiej i amerykańskiej, osiągając w ten sposób jeden z największych wysiłków pracy twórczej, do jakiej zdolny jest umysł człowieka.

Charakter Stead'a niemniej zdumiewa, jak i jego umysł. Syn wiejskiego pastora, całe życie hołdował surowej purytańskiej etyce, był pionierem cnoty w pięknym, spartańskim słowa tego znaczeniu. Umiłowanym jego bohaterem był Oliver Czomwell. Carlyle mawiał o nim: „the good man Stead“.

Kiedy czytam Stead'a, zdaje mi się, że Cromwell zmartwychwstał —mawiał kardynał Manning z komicznym przerażeniem. Lord John Morley, wydawca *Pall Mall Gazette* gdzie Stead pierwsze stawiał kroki, bał go się, jak ognia, choć żył z nim w serdecznej przyjaźni i wkrótce mianował swoim zastępcą. Stead rzucił się w odmęt polemik z niepohamowaną furją i niebawem wysunął swój dziennik na czoło prasy angielskiej. Z jego imieniem wiąże się też niejedna chlubna karta jej dziejów.

Stead wynalazł *interview*. Prowadził słynne na świat cały kampanje. Atakował i obalał wyniosłe autorytety, nietykalne powagi. Nieubłagany wróg faryzeizmu, gromił obłudę angielskich obyczajów, źródło nienawiści i utrapień Byrona i Wilde'a, demaskując egoizm i rozpustę możnych lordów spowodował istną w tych sferach panikę. Świetnym, jak stal tnącym piórem bronił pokrzywdzonych, osłaniał maluczkich, raził wyzysk i nadużycie. Ankietą o warunkach pracy kobiet i dzieci ocalił tysiące istot od śmierci i hańby. Opromieniła go sława niezwykła; wpływ Stead'a poprzez ocean dosięgnął Ameryki i Australji.

Stead zaczął też wybiegać myślą poza ojczyste granice. W r. 1889 zakłada *Review of Reviews*, pismo, zakrojone na miarę wszechludzką, organ całego kulturalnego człowieczeństwa. Szuka w nim sposobów ku zbliżeniu narodów, podejmuje wymianę myśli poprzez krańce świata, mozolnie i wytrwale buduje gmach solidarności całego rodzaju na niewdzięcznym gruncie dumnej odrębności brytańskiej. Wywołał istny przewrót w pojęciach wyspiarzy, niechętnie spozierających

na tamten brzeg kanału. Wydawał swoje pismo jednocześnie w Londynie, New-Jorku i Melburnie.

Stał się królem dziennikarzy. Do swych zażyłych przyjaciół liczył Gladstona, kard. Manninga, księcia Walji, wielu wybitnych mężów stanu, artystów, uczonych świata całego. Pewnego dnia wpadł do pracowni Steada Cecil Rhodes i rzekł obcesowo:

— Pan masz talent i zapał, ja mam pieniądze, zróbmy spółkę. Cobyś pan począł mając w ręku miljon funtów szterlingów?

Stead opowiedział:

— Stworzyłbym dwa wielkie dzienniki, jeden tu, drugi w Paryżu, w celu zniesienia uzbrojeń i zbratania narodów.

— *All right*. Trzymam 25 miljonów franków do pańskiej dyspozycji.

Stead udał się do Finot'a, redaktora paryskiej *Revue*, by go postawić na czele nowego dziennika w Paryżu z kapitałem 10 miljonów.

Tymczasem jak grom z jasnego nieba spada wieść o wojnie afrykańskiej, w której Rhodes, wespół z Chamberlainem i Jamesonem, wiadomą odegrał rolę.

Stead odrzucił miljony, zerwał z Rhodes'em, wystąpił z grzmiącym, płomiennym, godnym proroków bibilijnych, protestem przeciw tej wojnie, w której widział hańbę swego narodu. Idąc za głosem sumienia, niezłomny ten człowiek wyrzekł się nietylko władania największym w Europie organem prasy, lecz i 500 miljonów, które Cecil Rhodes pragnął przekazać mu w testamencie, co było powszechnie wiadome. Podeptał to wszystko wielki purytanin i w świętym gniewie piętnował niegodny czyn swoich rodaków.

Poniewczasie, kiedy nieszczęsna ta wojna pochłonęła 100 tysięcy ofiar, kilka miljardów i znaczną część autorytetu W. Brytanji w oczach świata — przyznano Stead'owi rację.

Stead przyczynił się bardzo poważnie do zbliżenia Anglji z Ameryką Północną; dzieło to niedawno zostało uwieńczone traktatem rozjemczym, nazawsze usuwającym groźbę wojny dwóch wielkich odłamów rasy anglosaskiej.

Jednocześnie pracował gorliwie wespół z Finot'em nad zbliżeniem anglo-francuskim. Dziś opiera się ono na trwałych podstawach. Symbolem wymownym tego trój-porozumienia jest bodaj *New York Herald* Gordona Benett'a, wydawany w Paryżu, w języku angielskim.

Trzecią próbę zbliżenia z Niemcami musiał Stead wprędce porzucić. Uznawszy płonność swych usiłowań w tej mierze, jako człowiek logiczny i prawy Anglik, wszczął kampanję o powiększenie brytańskiej floty wojennej, chociaż nie było mu tajnym, że czyniąc to, pozbawia się nagrody Nobla, do której miał prawo pierwszeństwa.

Nie posiadał Stead nigdy odznak, nagród, zaszczytów. W ostatnich latach życia, u szczytu sławy, był orędownikiem już nie jednostek, lecz ludów. Wysyłano doń petycje, wzywano jego interwencji. Nieraz stawał jako pośrednik w dziejowych zatargach. Okoliczności, w jakich wezwano go do Petersburga w r. 1907-ym zasługują na bliższe poznanie. Stead nie był wówczas zrozumianym. Przekładał, ostrzegał, tłómaczył. Wszystko napróżno. I znów przyznano mu słuszność— poniewczasie.

W ostatnich latach życia popadł w mistycyzm. Z właściwym sobie zapałem, z heroiczną brawurą stawiąc czoło szyderstwu podjął pierwszą tego rodzaju próbę stałej komunikacji między światem żywych i światem umarłych. Jędziwy entuzjasta pragnął w końcu wybiedz po za granice miejsca i czasu, wprzęgnąć dusze minionych pokoleń do współpracy doskonalenia ludzkości.

Jan Finot, który nie podzielał bynajmniej zapału swego przyjaciela ani gorącej wiary jego w obcowanie dusz, przyznaje wszelako, że na seansach spirytystycznych u Stead'a zachodziły rzeczy dziwne. W r. 1903-ym nietylko wiedziano tam o spisku królobójców serbskich, lecz nawet ostrzeżono *konak* za pośrednictwem posła serbskiego w Londynie, na co formalne istnieją dowody.

W r. z. doznał Stead ciężkiego zawodu. Wybuch wojny włosko-tureckiej, którą usiłował zażegnać osobistymi wpływami w Rzymie i Stambule — przepoił go goryczą. Wstępując na pomost *Titanic'a*, który go wiózł do Stanów Zjednoczonych na *tournée* propagandy Pokoju — Stead zdradzał już pewne znużenie. W czasie katastrofy podobno nie usiłował się ratować; tragicznej owej nocy nie widziano go wcale na pokładzie....

Zginął w 63-im roku życia, zostawiając po sobie pamięć jednej z najczystszych postaci w dziejach świata. Anglia uczciła go wspaniałem pogrzebem w Westminsterze, a jeszcze piękniejszy hołd złożył mu parlament, wotując w tempie przyśpieszonym *Criminal Law Amandement Bill* w celu ulżenia niedoli kobiecej, o co Stead niejedną stoczył kampanję.

L. Brunn.

Z mojego pobytu w Paranie

Po długiej i ciężkiej przeprawie przez morza stajemy wreszcie u wrót obiecanej krainy brazylijskiej.

Do raju dostają się po przejściu czyśćcowej pokuty. Doświadczyliśmy tego na sobie, dzięki staraniom krakowskiego Towarzystwa Emigracyjnego, które kieruje wychodźców na linje okrętowe, pod każdym względem najgorsze, otrzymując za to pewne dochody na cele towarzystwa.

Na okręcie „Columbia" towarzystwa Austro-Americana nikt z załogi nie umiał się porozumieć z pasażerami. Z konieczności używają mnie za pośrednika i muszę zaznajamiać się z wszelkiemi historyjkami okrętowemi, którym za temat służą: brudy, brutalne obejście się załogi, ciasnota pomieszczenia i klasyczne jadło o wyglądzie i smaku pomyj, bardzo, jak sądzę, odpowiednie dla nierogacizny.

— Jechaliśmy już na statkach rozmaitych linji, nie wyłączając najgorszych bremeńskich, lecz pojęcia dotychczas nie mieliśmy, żeby tak można było ludzi traktować i żywić, — opowiada mi jeden z udających się do Argentyny Dalmatyńców; — żadnych reklamacji nie chcą tu uwzględniać, odpowiadając, że tak źle chyba nie jest, kiedy inni pasażerowie znoszą to jakoś spokojnie i nie skarżą się. A inni przecie nie umieją mówić!- kończy z żalem.

W wyobraźni naszej zachodnia Europa kojarzy się z pojęciem ładu, uprzejmości i ludzkiego traktowania maluczkich. Stosunki okrętowe w jaskrawej są z tym pojęciem sprzeczności.

— Książek na okręcie niema, a choćby i były,

to któżby je dał tym ludziom — informuje mnie młody komisarz okrętowy, — zniszczyliby przecie.

W porcie Paranagua mamy już próbkę innych porządków — brazylijskich. Emigrantów przewożą z okrętu wielką łodzią bez nakrycia, pomimo ulewnego deszczu. Na brzegu niema przystani, więc pasażerów wciągają na brzeg za ręce, kołnierze, a nawet uszy. Pewną korpulentną jejmość windowano z dwukrotną pauzą, nie zważając na krzyki przerażonej tą niezwykłą lokomocją niewiasty.

Urządzenie „Gospody dla Imigrantów" iście postępowe: podłoga i nary—to całkowite umeblowanie. Po belkach skaczą, ku wielkiej uciesze dzieci, szczury. *„Ratten Cirkus Hotel"* napisał jakiś dowcipniś kredą na ścianie.

Jedzenie po okrętowem wydaje się wychodźcom bardzo smacznym: uprzejmość kucharza Indjanina rażąco odbija od szorskiego obejścia nerwowych, narwanych Brazyljan. Paranagua, położone bardzo nizko nad poziomem morza, posiada wyjątkowo, jak na Paranę, gorący, niezdrowy klimat. Potęga przepysznej podzwrotnikowej roślinności wprawia w podziw i przytłacza swym ogromem wychodźców.

— Jaki to piękny ten boży świat! — szepczą zdumieni.

Po krótkim kilkunastogodzinnym odpoczynku ruszamy dalej.

Wiozą nas koleją przez zdumiewające swą malowniczością góry Serra do Mar. Takich mostów, wiaduktów, tuneli nigdzie na świecie nie spotykamy. Tu rzeczywiście sztuka inżynierska dokonała cudów.

Podróżni, jak w gorączce, przebiegają od jednego okna wagonu do drugiego, nie chcąc utracić nic z tego widoku, którego już więcej zapewne nie zobaczą. Z jednej strony wznoszą się groźnie niebotyczne skały, z drugiej pod nogami rozwiera się przepaść z szumiącemi w głębi kaskadami strumyków, niknącymi gdzieś w dali, w barwną zielenią okrytych dolinach. Co chwila ukazują się jak modre płatki, unoszące się za powiewem wiatru, niebieskie motyle *Morpho aega*. Nieliczne chatki—ukryte w gąszczu bananów.

Po drodze jesteśmy przedmiotem zaciekawienia Brazyljan. Szczególniej interesują ich dzieci:

— Ci, to już prawdziwi Brazyljanie — tłomaczy mi pewien jegomość, — a o starszych to my nie dbamy. Zresztą na Polaków i tak skarżyć się nie możemy. Niemiec, choć się nauczy po naszemu, ma serce zawsze niemieckie, a Polak, aby przyjechał, to już jest Brazyljaninem, a często, to i większym patrjotą, niż my sami.

Po przebyciu gór w wagonach staje się chłodno, zniknęły piękne widoki, widnokrąg zajmują ponure piniory *(araucaria brasiliensis)*. Wkrótce przybywamy do kresu podróży.

W Kurytybie zatrzymuję się dłużej w celu poznania miejscowych stosunków. Naturalnie, pierwsza wizyta w redakcji *Polaka w Brazylji*. Wypytuję się o polskie instytucje, gmachy publiczne etc.

Istnieje tylko „dom polski", lecz i ten tak okazale wygląda, iż proponuję mi zrobienie zdjęcia z innego jakiego budynku.

Kierunek i znaczenie polskich organów prasy p. redaktor sądzi oryginalnie:

— Mnie obchodzi tylko, czy dane pismo popiera moją politykę, czy nie. Bo ja tu robię politykę za własne pieniądze — O widokach na przyszłość przybywających tu Polaków redaktor ma wysokie wyobrażenie:

— Tu, w Paranie wszyscy mogą liczyć na wszystko, takie tu szerokie pole do pracy.

Dowiaduję się później, że mówiący te słowa już grube pieniądze utopił w rozmaitych przedsiębiorstwach, jak dotychczas, bezowocnie

Wprost przeciwnego zdania jest redaktor drugiego pisma „Gazeta Polska w Brazylji".

— Niema tu żadnych widoków, ani przyszłości: praca na kolonjach jałowa, wyczerpująca daje tylko na życie. W miastach wiele przejść trzeba, zanim się człowiek przyzwyczai do języka i miejscowych warunków, lecz i później tylko się marnie wegetuje.

Pole do działalności mają tylko panny do wzięcia: z powodu znacznej mniejszości procentowej kobiet o wiele tu łatwiej o ładnych i bogatych epuzerów. Naturalnie, mowa tylko o Brazyljanach. I jedno jeszcze! Co drugi Brazyljanin w kołnierzyku (Brazyljanie dzielą się na trzy kategorje: strojnych w kołnierzyki, dodających sobie wdzięku przy pomocy fantazyjnie zawiązanej chusteczki na szyi i nie znających żadnej z tych ozdób), to albo „dotor" albo „engenheiro". Jakaż więc tam łatwość osiągnąć szczyt naszych panien, —zostać panią inżynierową!

Stolica Parany jest miasteczkiem bardzo rozległym i dość ożywionym. Tramwaje ciągną galopujące muły—bardzo cenione w Brazylji zwierzęta. W oknach całe szeregi pań brazylijskich opartych o specyjalne, zewnętrzne framugi, o pięknym powłóczystym spojrzeniu. Wystawa taka trwa do zmroku, świadcząc o niewyczerpanej ofiarności Brazyljanek w spełnianiu tak poważnego zadania — urozmaicania widoku przechodniom.

(C. d. n.) *Tadeusz Chrostowski.*

KRYTYKA.

Wystawa minjatur.

Urządzona przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości.

(Dokończenie).

Anglicy XVI i pierwszej połowy XVII wieku—jak Isaak i Peter Oliverowie, Hoskins — nie tworzą rzeczy ani ładnych ani ciekawych. Wybija się Samuel Cooper. Jego przepiękna główka „Miss Christian Timple" — może być zaliczoną do najładniejszych minjatur w historji. W rozwoju tej gałęzi sztuki odgrywa rolę w pewnym stopniu nowatora Jan Petitot, gandawczyk (ur. 1607 r.). Artysta emaljer, pod wpływem Van Dycka, przerzuca się na minjaturę, wzbogaca paletę w barwę purpurową, czem ułatwia wydobywanie koloru ciała, nadaje portrecikom ów polor wytworności, jaki od tej chwili staje się atrybutem minjatury.

Te dwie zasługi, wskazane przez Lembergera, czynią z Petitot'a mistrza jego sztuki. — W ciągu XVIII wieku minjatura rozwija się w Anglji - Reynolds'owskie potrety Richarda Cosway'a, twórcy prześlicznego portretu pani du Barry, czarują kobiety, Smarth i George Engleheart malują

tysiące figlarnych główek. Plimer wpada już w obrzydliwą manierę. I dopiero pod koniec XVIII wieku zakwita minjatura „istotna", to znaczy ta najbardziej rozpowszechniona, owa groteska owiana porcelanowym uśmiechem rococo'-wych dam, jak one miła i nieszczera, a tyle wspólnoty z istotną sztuką mająca, ile jej miały fêtes champêtres z wolną zabawą ludu na tle łąk i wód. Nie malowali już minjatur mistrze, jak to się działo w XVII w., lecz specjaliści, nadworni malarze, dla których piękne kłamstwo było często kroć wartością portretu. (Bouchot pisze, iż do Isabey'a spieszyły tłumnie damy, pragnące odrestaurować zniszczone twarze... przez portret). I oni to nadali właściwy charakter sztuce minjaturowej, drobnostkowe, niemal subtelne wykończenie uogólnień, bez zagłębiania się w charakterystyczne cechy człowieka żyjącego. Jeszcze ostatnie piękne miniatury wyszły z pod pendzla Nattier'a i owego Boccacia w malarstwie XVIII wieku, mistrza Honoré Fragonard'a.

I wówczas, gdy zewnętrzna wytworność zaslepowała wszelkie wartości człowieka, eleganckie i rzekomo subtelne minjatury były gorąco pożądane. Dostarczał je pupularny we Francji szwed Adolf Hall — potem zaś owa autorka słodkawo-mdłych pasteli, wenecjanka, Rosalba Carriera. Ona to zdaniem Lembergera (według Bouchot'a zda się iż Hall) odrzuciła dotychczasowy kierunek pointillistyczny, rozpoczynając nowy okres „spirytualistyczny" [1])

Na schyłku wieku XVIII i na początku XIX, gdy malarze przedrewolucyjni popadli w niełaskę u ludu, a tryumfował Dawid, powstają nowe szkoły minjaturzystów. Tworzą je Jacques Augustin i Jean Baptiste Isabey. Kontynuują ich tysiące uczniów, z pośród których wybija się Saint, Hesse i inni.

Do roku 1810 trwa niesłabnąca popularność Augustin'a, gdy sprytny Isabey poczyna czarować rzekomą wytwornością, wkrada się w łaski dworu, dawniej Marji Antoniny, teraz Napoleona, Ludwika XVIII, Karola X, nawet Napoleona III, maluje portrety cesarzowej Józefiny, cesarzowej Eugenji. Popularność jego wzmaga się, gdy poznawszy smak epoki, poczyna owiewać główki kobiece owymi szalami „qui deviennent une folie chez les femmes de la société".

W tym czasie kontynuuje w Niemczech kierunek Rosalby Carriery doskonały minjaturzysta Henryk Füger. Jego książe Fryderyk Hohenlohe, będący raczej rysunkiem sangwiną, daleki od minjaturowości, posiada wszelkie cechy doskonałego portretu.

W Austrji tworzy M. Daffinger.

Te kilka uwag ułatwi nam może zorjentowanie się na warszawskiej wystawie.

* * *

Bogata w arcydzieła sztuki tkackiej i hafciarskiej warszawska wystawa wśród wielkiej ilości — wielu pięknych minjatur nie posiada. Otwiera ją ukryty w cieniu firanki wystawowej portret Marji Stuart niewiadomego autora. Blado-żółta twarz o byzantyjsko spokojnych oczach, ostro wyrysowana na tle twardych koronek, czyni wrażenie ponuro-ascetyczne. Portret ten stanowi nie mniejszą ozdobę wystawy niż wiszący obok portrecik Cranacha. Tuż widzimy Petitot'a, i stwierdzamy naocznie pokrewieństwo mistrza minjatury z Van Dyck'iem. Portrety Migniard'a przywołują wspomnienia królewskich portrecistów francuskich z końca XVII wieku. Precyzyjne portrety pani Pompadour i hr. Orzelskiej, traktowana z całą figlarnością (à la Watteau), prowadzą nas do owej minjatury, oznaczonej numerem 959 w zbiorze ks. Druckiego-Lubeckiego. Jest ona bodaj najbardziej charakterystyczna dla tych finezyjnych, jakgdyby perfumą skropionych, portrecików: przezroczysta blada barwa twarzy, blado-różowe ciało, pokryte jasno-niebieską suknią, uśmiechnięte usta, a wszystko koronkowe, aż przesadnie koronkowe. Angielską minjaturę charakteryzuje główka Henryka Edridge'a (Nr 966).

W górnych komnatach wychylają się z poza setek miniatur dwie istotnie piękne główki: pełna sentymentu greuzowskiego głowa hr. Marji Walewskiej i pani Chateaudun, miniatura pani Vigée Lebrun na mocnym, zielonym tle, uśmiechnięta szczerze, w bezpretensjonalnym pochyleniu siedząca nieszablonowo miła postać. Katalogowo ciekawi, szukamy Isabey'a. Portrety hr. Potockiego i Napoleona — niemęzkie, płytko miękkie, pulchne. Poznajemy go w portrecie hr. Mniszchowej, owianej owym historycznym szalem. Portret nie zachwyca.

Zastanawia nas minjatura, oznaczona Nr 657. Na tle żywo-barwnej zieleni, istotnie beardsleyowsko charakterystyczna główka kobieca. Jeden z niewielu mocnych w wyrazie portrecików.

Galerja polskich minjaturzystów posiada Chodowieckiego nienajlepszą jednobarwną scenkę. Lesseur'a bardzo dobry portret hr. Ignacego Tyzenhausa. Najbogaciej reprezentowany Marszałkiewicz, widać, wielu ulegał i różnorodnym wpływom. Ciekawe są jego główki à la Rubens i portret Slizienia. Piękna jest główka Szymanowskiej, rysunek Rafała Slizienia, Aurelja Englertowa, minjatura na kości słoniowej Rzewuskiego. Norblina pyszny autoportret koronuje wystawę polskich minjaturzystów.

* * *

Oto kilka miniatur, wybijających się ponad inne. Wiele cennych tu przemilczano dla względnej bezowocności wyczerpującego sprawozdania.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż ukazała się wyczerpująca i doskonała historja minjatury, ze szczególnym uwzględnieniem portretu polskiego, (jaką to pracę u nas po raz pierwszy podjęto) napisana przez p. Przesmyckiego. Dodana jest jako wstęp do ilustrowanego katalogu.

Mieczysław Sterling.

Z Teatru.

Stał się cud w Warszawie. W okresie kanikuły, w czasie gdy z wydarzeń poważniejszych tylko wielkie węże morskie pojawiają się na szpaltach dzienników, w epoce „ogórków", przytrafił się w mieście ewenement wielki: podczas perjodu francuskich fars, „śpiewogler" i neofredrowskich komedyjek, wystawiono po raz pierwszy utwór jednego z największych nie tylko niemieckich lecz wszechświatowych dramaturgów, Fryderyka Hebbla. Pokazano nam z desek scenicznych arcytwór, „Judytę". Zaskrzypiały sprawozdawcze pióra wszystkich pism warszawskich i skrzypiały długo z racji wielkich nowych obszarów jakie

[1]) Słusznie zauważa Przesmycki, iż ciągłości żadnego kierunku nie było.

w duszy zbiorowej rozwidnia olbrzymi talent autora i potężne dzieło jego, z racji zresztą, że gotową kanwę do krytycznych rozstrząsań sztuki utkał już Karol Irzykowski w swym studjum p. t. „Fryderyk Hebbel jako poeta konieczności", — lecz czy słusznie skrzypiały pióra? Czy recenzje z dramatu miały jakikolwiek konsekwentny związek (po za naturalnie wyżej wymienionym studjum) z wystawieniem „Judyty" w Teatrze Letnim, związek nie czysto formalny, związek bezpośredni, odwórczy?

Czy którykolwiek z krytyków nie czytając uprzednio „Judyty" w wydaniu książkowym, ani widząc utworu już gdziekolwiek zagranicą, ani, tembardziej, nie znając studjum Irzykowskiego, czy, na zasadzie tego tylko co widział podczas premiery na naszej „pierwszej scenie polskiej, mógłby w swym sprawozdaniu skonstatować choćby połowę tych refleksji jakie wypisał był?

Śmiem twierdzić, że nie.

Dzieło bo sztuki scenicznej ma to do siebie, iż żyje całą pełnią swego bytu tylko wtedy, gdy dźwięczy żywym słowem, kreśli się linjami gestów, nabiera miąższu w perpektywie teatru.

Nie mówię o „książkowych" dramatach, które w świetle lampy widnieją jako martwe embrjony, bo te dramaty w zakres utworów teatralnych nie wchodzą. Jest natomiast i typ inny. Dzieła uznawane do czasu za „niesceniczne", dopóki nie zjawi się Pigmaljon reżyser, który ożywi Galateę — dramat. Takim Pigmaljonem był np. Stanisławskij w stosunku do utworów Czechowa. „Czajka" tego autora padła po pierwszem przedstawieniu w teatrze Aleksandryjskim, a ożyła całą mocą swego jestestwa w moskiewskim Artystycznym. Że „Judyta" zaś jest dziełem czystej sztuki dramatycznej o tem wiadomo, lecz jako taka tylko wówczas istotnie żyje i tylko wówczas o niej pisać można, gdy ją odtworzy talent reżysera przez środki aktorów i dekoratora. Czy można z czystem sumieniem wyrażać sąd o rzeźbie, którą się zna z fotograficznych reprodukcji, czy można wnioskować o sile obrazu na zasadzie nieudolnej kopji?

Czy można zdać sobie sprawę czem jest „Judyta" z racji wystawienia jej w Teatrze Letnim?

To zaś co nam pokazano urągało pamięci Hebbla, urągało sztuce, urągało pojęciu i tradycjom „pierwszej sceny" polskiej; począwszy od strony dekoracyjnej, skończywszy na tłumach i grze aktorów był to skandal bodaj jeszcze większy niż nieszczęsnej pamięci wystawienie w sezonie zimowym „Romea i Julji" z racji gościnnych występów p. Solskiej. To cośmy widzieli było już nie tylko wypaczeniem utworu, wtłoczeniem go w jakieś wklęsłe karykaturujące lustro, lecz wprost znęcaniem się nad sztuką, było jednem aktem gwałcenia „Judyty" przez siedem odsłon!

Sztuka broniła się... Utraciwszy w nieudolnych scenicznych odtworzeniach całe swe „głębsze znaczenie", rwana na strzępy w galimatjasie zupełnego niezrozumienia, „Judyta" walczyła rozpaczliwie o resztki swej wartości kreacją p. Wysockiej, choć niektóre środki zewnętrzne jej artystki i głos nie zawsze mógł płynąć nurtem zamierzeń autora. Po za tem tu i owdzie w chaosie zarysował się giest, zadźwięczało dobrze wypowiedziane zdanie, i zrzadka dzięki ironicznym przypadkom przesunął się przez scenę cień głębinowy sztuki Hebbla. Reszta była obmierzłą szablowaną rutyną lub amatorskim spektaklem na letnisku. Ci adepci szkoły aplikacyjnej, młódź strenowana i tragiczna w nieświadomości swych czynów, ta tłumna trzoda statystów pojękująca, postękująca, robiąca „sztuczny tłok" na komendę lub po czterykroć w tych samych osobach przepychająca się przez bramę, by zimitować bieganiem wokoło srogą mnogość luda (zaiste pomysł świetnie z „Tralalji" przeszczepiony do „tragedji). Uderzała przytem w tym tłumie przebogata rozmaitość karnacji, nawet na jednych i tych samych osobach: byli tam assyryjscy wojacy o kawowych twarzach, białych rękach i szarych nogach, byli semici o brązowym kolorze rąk do dłoni włącznie, te zaś miały barwę brudno-białą, były typy mające na każdej kończynie kolor innej rasy kuli ziemskiej.

Jak przytem ci ludzie mówili, jak się poruszali!

W paragon z powyższem szła wystawa. Naprzykład ów nie do zdobycia dla pogromcy tylu miast Holofernesa, — gród Betulja. Ściana — rumowisko (zdaje się zapożyczona z „Elektry"), w niej dziura zatkana zbitemi do kupy czterema deskami, brama miasta; obok mur o ostro sklepionem ślepem oknie à la gotyk; całość góry nakryta gardiną w żółte i szare, zdaje się, pasy (zapewne z racji upałów). Wszystkich tych nad zwyczajności nie spisał by zaiste na wołowej skórze. Wspomnę też tylko jeszcze o świetnie wyreżyserowanych porach dnia: ostatni obraz zaczyna się nocą, oblężeni w mroku przedświtu oczekują na czyn Judyty i oto w chwili, gdy od obozu assyryjczyków rozlega się krzyk rozpaczy a Judyta wpada na scenę z uciętą głową Holofernesa, współczująca hebrajczykom natura składa dowód swej radości, — w oka mgnieniu z ciemnej nocy robi się przejasny dzień na scenie.

Z grających po za p. Wysocką jeden tylko Brydzyński stanął na wyżynie utworu, epizod tego artysty tragicznym dreszczem wstrząsnął salę. Leszczyński przy kapitalnej masce grał tak, jakby sam siebie usiłował kiepsko sparodjować, iż zaś p. Kotarbiński kreacją Holofernesa rozmiłował w sobie Judytę, stało się to tylko z powodu narzuconej jej w tym względzie woli autora. P. Staszkowski dobry był w gieście i charakteryzacji; na zaznaczenie zasługuje w roli Mirzy p. Bogusławska i charakterystyczno-komiczny, jak zwykle, p. Kawalski; z tłumu młodych dodatnio wyróżniła się p. Gzylewska

W rezultacie po wysłuchaniu mimowolnych tragiczności pełnej sztuki rodzi się pytanie: czy Fryderyk Hebbel „jako poeta konieczności" koniecznie winien był być wystawiony w Warszawie po warszawsku? Czy, jeżeli już złożyło się tyle świadectw, że sztuki wielkiego repertuaru mogą być u nas tylko parodjowane, pierwsza nasza scena musowo winna się brać nie do swoich rzeczy. Doprawdy lepiej dać sobie spokój z zamiarami ponad siły i grać to co się potrafi nieraz i świetnie. Zapolska i francuski konwersacyjny repertuar, „szczupły, ale własny". Toż przecie od czasu do czasu zjedzie do Warszawy jaki obcy teatr i pokaże coś z istotnej wielkiej sztuki. I wilk będzie w ten sposób syty i owca „pierwszej sceny" cała.

* *

Teatr Mały w Filharmonji wystawił przeróbkę z powieści Bolesława Prusa p. t. „Placówka" dokonaną przez pp. J. Popławskiego i St. Staszewskiego. Byłoby, przypuszczam, rzeczą zbyteczną dowodzić powszechnie znanego faktu, że wszelkie przeróbki utworów narracyjnych, gdzie element opisowy gra tak olbrzymią rolę, na scenę, — są rzeczą chybioną w samym pomyśle. Było też do przewidzenia, że cały żar powieści Prusa zostanie jej

przy tej „scenicznej“ wiwisekcji odjęty, — lecz przeróbka pp. Popławskiego i Staszewskiego po za koniecznemi wadami posiada jeszcze własne, o specyficznym poziomie kwalifikującym teatralny elaborat do grania w każdym razie nawet nie przed średnio inteligentną publicznością. Poziom ów stacza się w beznadziejne prowincjonalne efekciki. Takie bo „pewniaki“ folkloru jak ludowo-baletowe tany z kupletami elektryzować mogą audytorjum li powiatowych miasteczek. W Warszawie robić tego nie wolno (za wyjątkiem teatru ludowego) pod grozą narażenia się na niesmak. Sztuka naogół wyreżyserowaną była możliwie. Z artystów wyróżnił się się p. Bogusławski dobrze zarysowaną sylwetką parobka Kuby, p. Klońska w trudnej roli warjatki, przyrosłym do ziemi chłopem był p. Popławski, podatne warunki do zakresu sztuk ludowych wykazała p. Podgórska. Do rzędu powyższych wysuwających się na czoło zespołu aktorów zaliczeć należy p. Świeściaka w roli żyda arendarza i tęgiego w epizodycznej rólce gospodarza p. Kiernickiego.

Kazimierz Wroczyński.

Wrażenia i refleksy.

Antoni Lange **„Elfryda“** — nowele; **„W czwartym wymiarze“** — opowiadania.

Spiritus flat, ubi vult.

Nieoczekiwanymi nieraz nawet krzywymi kreśli się linja prac artysty, klasyczny zakrój konsekwentnie idącej wwyż ewolucji, zdarza się niezmiernie rzadko, tak rzadko, iż stał się on wzorem, teorją. Praktyka natomiast nagromadza coraz to liczniejsze wyjątki: miast uporczywego szczeblowania ku górze, — długie przystanki z powtórnym przeżywaniem rzeczy już zdobytych, albo li dywersje w bok, lub nieobliczalne dla krytyka skoki, poprzez stopnie, które „należałoby“ artyście przebyć, zanim znaleść się winien tam, gdzie właśnie już stanął sprężystą stopą. Spiritus flat, ubi vult ku umartwieniu, zgryzocie i pomyłkom statecznie kalkujących krytyków. Najbardziej zaś owe „podmuchy ducha“ mylą drogę w ślady za nimi dążącemu, gdy z jednego zakresu literatury przechlusną na inny, gdy naprz. poeta nagle w prozaika się przedzierzga, symbolizujący mistyk w satyryka nowelistę, dramaturg w powieściopisarza.

Lecz co zabawniej jeszcze w tych zwrotach uderza, to możliwość faktu, iż „duch“ przerzuciwszy artystę w krainy dlań zewnętrznie nowe, miesza i konfunduje tem samego twórcę, zwłaszcza o ile w skoku uronione zostały które z istotnych elementów stanowiące głąb indywidualności lub o ile równocześnie z zwrotem nie rozwinęły się zarodki właściwości pozornie nowych a tkwiących już uprzednio gdzieś na dnie.

Jaką bo ewolucyjną konsekwencją umotywować się dadzą i w jednolitą linją z poprzednią twórczością Antoniego Langiego złączyć, — dwa ostatnie tomy nowel i opowiadań p. t. „Elfryda“ i „W czwartym wymiarze?“

Antoni Lange liryk-parnasista, poeta o wyszukanej formie, organizacja chłodna, wyrafinowania pełna, twórca w którym intellekt zdławił instynkt,— publikuje dwa tomy krótkich prozaicznych w formie i treści opowiadawczych utworów. Nieskazitelny tłómacz Banville'a i Gautier'a pisze nowelę w typie maupassantowskim („Testament“); niezmordowany zaklinacz na język polski największych eposów świata daje „Rebus“ o zakroju conandojlowym, ten, który najgłębsze tchnienia twórczości europejskiej w „Studjach“ krytyczne dla nas krystalizował, próbuje pióra w obrazkach rodzajowych tchnących realistyczną starzyzną „pyłków“ z lat osiemdziesiątych („Widlak“), więcej bo [illegible] czesne coś z Wells'a a coś z Grand Guignol'u mające opowiadania; dramaturg któremu śnią się wielkie tragedje w chaosach wędrówki narodów imituje naśladowców Poe'go („Babunia“ i „Eksperyment“).

Spiritus flat, ubi vult, — ku istotnemu umartwieniu zamiłowanych w systematycznym twórczym rozwoju krytyków.

Czy jednak niespodziewany on nawrót nie zastał samego artystę nieprzygotowanym? Czy nie uronił on w skoku których ze swych istotnych wartości, czy ta dywersja ma jakie mniej dotąd dające się wyczuć ośrodki twórcze w Langem? I tak i nie. Stanowczo pozytywnie w jednym kierunku odpowiedzieć można by wówczas, gdyby „nowele“ i „opowiadania“ opublikowane były z większą selekcją. W danym zaś wypadku, zastrzegając się, że istotna cecha twórcy „Pogrzebu Shelleya“ intellktualizm, pozostała niezmienną, zbiór „W czwartym wymiarze“ konstatuje w Langem olbrzymi rozwój fantazjowania, wielką umiejętność konstruowania fantastycznych *faktów*, bez możności wczucia się w istotę ich *stanu*, bo to leżałoby już po za sferą indywidualności autora. Tam gdzie na usługi twórczości jest mózg, rezultaty pracy pisarskiej święcą tryumf, lecz wszystkie momenty zmierzające ku ośrodkowi uczucia, nie docierają do celu, bo cel ów i ośrodek ten nie istnieje w Langem. Dlatego też wszystkie stronice poświęcone w utworach miłości pozostaną li zamierzeniami, opowiadaniem o melodji bez możności jej wyśpiewania. Inne momenty zaciekawiające w utworach a względnie w autorze nowe, to pewne tony humoru i lekkich, mądrych, satyrycznych uśmiechów. Zrzadka spotykamy echa rzeczy przeszłych jak naprzykład impresyjno-krytyczny essay o „Amorze i Faunie“ rzecz rysowaną historycznymi linjami literatury, w wywodach swych niezmiernie ciekawą, lecz nie mającą nic wspólnego z ogólnym tłem tomu, w którym została umieszczona. Pozostają jeszcze utwory posiadające doskonałe pomysły na rozwinięcia których albo autorowi snadź brakło chęci lub możności wyeksploatowania ich własnymi zasobami. Pomysły owe stanowią najciekawsze momenty twórcze w „Elfrydzie“, a zwłaszcza „W czwartym wymiarze“ (w „Śnie“ i „W Rozaurze“)

Otto

Z PRASY

Z prasy polskiej.

Emigracja jest wynikiem niedomagań wewnątrz organizmu, który nazywamy społeczeństwem. ludzie przenoszą się do innych środowisk wówczas dopiero, gdy na miejscu już nie mogą zaspokoić potrzeb wymaganych przez stopień ich cywilizacji. Minimum takich potrzeb bynajmniej nie jest jednolite. Istnieją kraje, stojące na bardzo wysokim szczeblu cywilizacji i odpowiadającej mu wyższej stopie zarobkowej, w których wychodźctwo się nie zmniejsza, przeciwnie nawet wzrasta, gdyż w miarę postępu rozwoju społecznego wzrastają również potrzeby jednostek nieproporcjonalnie do polepszenia się warunków bytu. Znane jest zjawisko gromadnego wychodźctwa Szwajcarów do Ameryki, oraz Polaków i Włochów do Szwajcarji: robotnik szwajcarski często nie mógłby wyżyć z tych zarobków,

które dla naszego emigranta stanowią źródło nietylko utrzymania, lecz nawet oszczędności.

Odkąd zaś na naszej wsi działać zaczął nowy czynnik postępu gospodarczego: oświata, emigrują również ci, którzy ją posiedli wcześniej niż ogół, ponieważ poziom umysłowy środowiska wiejskiego zaspokoić ich potrzeb moralnych nie jest w stanie. Napływ takich chłopów — inteligentów do miast jest coraz większy: *Kurjer Lwowski* omawiając stosunki galicyjskie pisze:

> Gimnazja i uniwersytety są na pół zalane synami chłopskimi. Statystyka uniwersytecka wykazywała przed kilku laty, że na Uniwersytecie Jagiellońskim z ogółu słuchaczów jest ², synów chłopskich. Niema zakątka administracji publicznej, gdzieby dziś nie było synów chłopskich. Niema takiej dziedziny pracy, gdzieby oni nie pracowali. Żywioł chłopski zalewa miasta „od dołu" i „od góry", zdobywa zwolna wszystkie placówki i gałęzie pracy, co łatwo poznać po wzmagającej się cyfrze ludności imigrującej.

W Królestwie Polskim, według *Zarania*, wybitniejsi przedstawiciele ludności wiejskiej również spieszą do miast:

> Emigracja najdzielniejszych jednostek ze wsi niedawno się zaczęła, rozszerza się jednak szybko. Jeśli fakt ten ujdzie uwagi społeczeństwa za lat kilka będziemy mieli to, co jest już dzisiaj w Galicji, że młodzież z powodu łatwego zdobywania wiedzy, emigruje do szkół, zwiększa szeregi inteligencji. Wieś traci na tym dużo, a kraj czy zyskuje wiele?

Dzieje się to samo pod zaborem pruskim. Jak twierdzi *Dziennik Poznański* i tam „synowie chłopscy" nie powracają po ukończeniu nauk na zagon wiejski:

> Takich, którzyby zdobytą trudem wiedzę po- [illegible] pośród synów naszego włościaństwa, niestety niema. Nie mamy ani jednego „chłopa" z wykształceniem rolniczym, nie mamy ani jednego „inteligienta", którýby powrócił na ojcowski zagon i pośród swoich braci stanął jako świecznik oświaty, nauczając nie tylko słowem, ale przykładem codziennego życia — nie mamy dlatego, że nie przedarło się jeszcze do szerokich warstw włościaństwa, te poszanowanie wielkie, ta uprawniona duma z „chłopskiego [illegible]".

*** Relacje ze wszystkich trzech dzielnic Polski brzmią jednakowo. Wszędzie zuważono ucieczkę ze wsi do miast, nietylko przymierającego głodem chałupnika, ale także inteligenta wiejskiego, który zdobywszy wiedzę, odrywa się od pnia wsi rodzinnej, zapomina o niej i zasila szeregi t. zw. „inteligienckiego proletarjatu". Inicjator dzisiejszej wymiany myśli na temat „wyedukowanych synów chłopskich" w *Tygodniku Ilustrowanym* p. Wiktor Ambroziewicz, widzi w tym źródło zła, które usunąć należy za wszelką cenę:

> Patrzyłem własnymi oczyma na te straszne tragedje, jakie mały Maciek lub Wojtek przeżywał, przerzucony w odmienne środowisko, w inny nieznany mu świat, kierowany ręką przywykłą do szablonów. Odmiany takie zazwyczaj tragicznie się kończyły. Dusza nie rozwijała się całem bogactwem [illegible] sem, lecz czyniła to bez wielkiego przekonania. Dlatego zazwyczaj o niebo są potężniejsi ojcowie samoucy, niż ich synowie kształceni. Dlatego takimi bezdomnymi sierotami chłopskimi w chwili gdy stracili „duszy stałość, siłę woli i wytrwałość", gdy zdradzili ziemię kochankę, pomiata dola-niedola, jak źdźbłem, oderwanym od pnia rodzinnego.

P. Ambroziewicz uważa, że — emigracja takich „wyedukowanych synów chłopskich spowodowała wzmożenie się u nas... ruchu ludowego, który według niego jest „produktem sztucznym" i do walki z którym „musimy wytworzyć inteligencję ludową", — czyli również produkt sztuczny. *Głos Narodu* posuwa się w swych badaniach jeszcze dalej, za istnienie wychodźctwa wogóle, winiąc politykę Stronnictwa Ludowego w Galicji.

> Prawdziwa, zdrowa praca nad ludem, nad jego podniesieniem ekonomicznym, której piękne wzory widzimy w Poznańskim, jest nieznana galicyjskim opiekunom ludu. Sami nie chcąc czy nie umiejąc się jej podjąć, wygodnie od niej stronią i uniemożliwiają pracą inteligencji wiejskiej.
>
> Dlatego wypowiada się wojnę duchowieństwu „urzędnikerji" i obszarnikom, a instytucje, dla podniesienia ekonomicznego ludu stworzone, uważa się za placówki partyjne, skąd ciska się gromy we własne szeregi.
>
> Wycieńczeni walką domową nie jesteśmy w stanie dźwignąć ludu, który powiększa szeregi proletarjatu, którego rozćwiartowana przez podziały spadkowe ziemia wyżywić nie jest w stanie.

*** Istnieją dwie metody walki z przejawami niedomagań społecznych: metoda leczenia, która badając organizm schorzały domaga się przedewszystkim radykalnego usunięcia przyczyn zła, i metoda zaleczania, łatwa w użyciu ale, niestety, prawie nigdy nie posiadająca właściwości leczniczych. Dla zwolenników metody zaleczania znajomość istotnego stanu rzeczy jest niepotrzebna; wystarczają urojone pozory z pod których niedyskretnie się czasem wyłania — interes osobisty. Aby zdyskredytować stronnictwo znienawidzone, sięga *Głos Narodu* po przykłady z Poznańskiego chociaż *Dziennik Poznański*, skarży się, że pomimo „pięknych wzorów" pracy nad podniesieniem ekonomicznym ludu nie ma tam ani jednego chłopa agronoma, ani jednego „inteligenta„ którýby powrócił na ojczysty zagon". A warszawski sojusznik *Głosu Narodu*, *Tygodnik Illustrowany* wzmożenie się uniemożliwiającego pracę nad ludem „zaraniarstwa" objaśnia tym że „synowie chłopscy" zamiast pracować na wsi, woleli zostać właśnie... księżmi i urzędnikami:

> ...Chłop, co odejmując pozostałemu rodzeństwu kęs chleba, kształcił jednego z synów na księdza, doktora, urzędnika i t. d. bezpośrednio nie czerpie zysków z uprzywilejowanego syna, a w większości wypadków nawet nie wie co się z nim dzieje. I nic dziwnego, że w chwili, gdy rozdźwięk poczyna się wkradać pomiędzy gromady chłopskie, nie ma na stanowisku tych, którzy z tego środowiska wyszli, co mu powinni służyć radą, nauką i czujną pomocą dlatego w dzielnicy naszej, gdzie ruch ludowcowy jest produktem sztucznym „zaraniarstwo" nie spotyka na swej drodze naturalnej przeszkody.

Widocznie „synowie chłopscy" wśród „urzędnikerji" nie potrafili przejąć się dostatecznie ideałami „pracy nad ludem", lub z działalnością tego rodzaju nie bardzo sympatyzowali!

*** Nie zdają lub też nie chcą zdawać sobie sprawy z właściwych przyczyn tego wychodźctwa nowego rodzaju inteligentów, nasi zwolennicy „pracy nad ludem", a nawet wówczas dopiero zdali sobie sprawę z jego istnienia, gdy autorytet duchowieństwa na wsi, przez bieg wypadków srodze nadwyrężony, wywołał potrzebę zorganizowania innej, bliżej ludu stojącej oligarchji, któraby przeciwdziałać mogła „nowatorstwom

siejącym burzę", jak nazywa p. Ambroziewicz ruch ludowy.

Nigdy *wszyscy* „wyedukowani synowie chłopscy" nie opuszczali wsi rodzinnej. Zawsze i wszędzie znajdą się ideowcy, garstka Nocznickich, Kurczaków i Manterysów. Ale niepodobna rozwiązywać zagadnień społecznych metodami z czasów kast hinduskich w rodzaju: „Skąd kto wyszedł, tam wracać choć pamięcią musi!"

Nietylko nie musi, lecz często nawet nie może. Większość owych różnych Radków, przebywających w miastach, choć czasem mówi jeszcze: *a ino*, myśli już jednak kategorjami mieszczańskimi; na wieś zabłąkawszy się chyba przypadkowo, jak to widmo z pamiętnej sceny „Wesela" usłyszeliby: Tyś nie mój!

W społeczeństwie stanowym, wychodźtwo jednostek zdolnych zdobywać przywileje do sfer uprzywilejowanych istnieć będzie zawsze. Nie na tych jednostkach opierać może przyszłość swą wieś polska. Demokratyzacja przychodzi nie z góry, lecz z dołu. Najpiękniejsze hasła o powrocie do ludu, o „źdźbłach oderwanych od pnia rodzinnego" nie wstrzymą przejawów, których źródło leży w wyodrębnianiu różnym stanom zakresu działania.

Chłop nie marzyłby o adwokaturze, gdyby „kochanka ziemia" zapewniała mu w społeczeństwie przywileje adwokata, ale ponieważ „ziemia kochanka" dotychczas przyznaje mu jedynie prawo do wiedzy ocenzurowanej przez „pracujących" nad ludem księży „urzędnikerji" i obszarników, cóż dziwnego, że jednostki zdolniejsze obszarnikami nie mogąc zostać, pragną stać się przynajmniej księdzem lub urzędnikiem?

Z prasy zagranicznej.

⁂ *Francuzi o Rosji*. Nie przebrzmiały jeszcze ostre słowa krytyki rzucone ze szpalt *Opinion* z powodu naginania polityki rosyjskiej w Polsce do potrzeb i widoków niemieckich, gdy oto pismo poważne i wpływowe, *La Revue Politique et Parlementaire* (№ 217) występuje z nowym ostrzeżeniem z powodu „tryumfów" nacjonalistycznych III-ej Dumy, kosztem Finlandji i Polski.

„By zrozumieć tę nową politykę nacjonalistyczną i ocenić, w jakiej mierze odpowiada ona istotnym interesom państwa, należy rozpatrzeć ją w trzech głównych przejawach: walk z autonomią finlandzką, z polakami i żydami".

Sprawę finladzką, w związku z prawem czerwcowym z r. 1910 (wspólne prawodawstwo) i z 2 lutego 1912 r. (przywileje Rosjan w Finlandji) uważa autor. Pierre Chasles, za wielce dla Rosji niebezpieczną i kończy tymi słowy:

„Wskutek przesłanek napozór sprzecznej natury, polityka „zjednoczenia" rozwija tylko skłonności separatystyczne. Dobrze rozumiany interes Rosji każe zaniechać polityki fatalnej (*néfaste*) która, pod pozorem wzmocnienia jedności państwa, rozszczepia je właśnie głęboko i stanowi przez to przyczynę stałej słabości".

Sprawa polska nasuwa pisarzowi francuskiemu niewesołe myśli! Zaznacza wprawdzie, że w granicach królestwa Polskiego rząd zrezygnował jakoby z rusyfikacyjnych zakusów, lecz w dziedzinie szkolnictwa i oświaty składa dowody połowiczności i niekonsenkwencji.

Niemniej fatalny wpływ wywiera nacjonalizm III-ej Dumy na całokształt stosunków polsko-rosyjskich:

„Ministerjum i Duma obiecały Polakom samorząd miejski i prowincjonalny, ale, wzbraniając się rozwinąć zasadę decentralizacji do właściwych granic autonomji, nie chcą słyszeć nawet o sejmie polskim z ograniczoną kompetencją, jak w Galicji... Mimo to wszystko, sprawa polska w granicach Królestwa, nie przedstawia się jeszcze rozpaczliwie. Lecz, niestety, z innej strony przedstawia znów tyle zawikłań i trudności, że na razie przynajmniej wydać się musi nierozwiązalną".

Autor czyni tu aluzję do zatargów narodowościowych na Litwie i Rusi, gdzie wielka własność, wskutek swoistego prawa wyborczego, wysyła do rady Państwa wielu polaków. System kurji narodowościowych, stworzony przez Stołypina w roku 1911 w celu wyparcia polaków z tego stanowiska bez obniżenia cenzusu wyborczego — nazywa Pierre Chasles jedynym w swoim rodzaju dziwolągiem.

Zaznacza też autor, że w Radzie Państwa pp. Kowalewski i Witte powstali energicznie na to ćwiartowanie ciała wyborczego wespół z jątrzeniem antagonizmów plemiennych. Przechodząc następnie do sprawy chełmskiej, powiada:

„Niedość mając smutnych tryumfów w pasie mieszanym polsko-rosyjskim, nacjonaliści chcą rozszerzyć ów pas kosztem właściwej Polski.. Kwestje rasowe łączą się tu ze sprawą wyznaniową. Prawodawstwo rosyjskie utożsamia Polaków z katolikami. Otóż, od czasu ukazu o tolerancji z r. 1905, sporo Rusinów przeszło z prawosławia z powrotem na łono „unji". W oczach rosyjskich szowinistów tym samym już się oni spolonizowali. Trzeba więc wpędzić ich znów w prawosławie — i do tego służy właśnie projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny".

Jak widać, *Revue Politique et Parlementaire* kładzie właściwy nacisk na rolę, jaką na ziemi chełmskiej gra wiekowy zatarg Rzymu z Byzancjum, o czym *Prawda* nieraz wspominała wśród bojaźliwego milczenia prasy polskiej.

Walka dwóch Kościołów bezpośrednio na razie, daje się we znaki polakom, których interes narodowy polityka rosyjska (i nietylko ona) utożsamia z interesem papieskim. Ale i Rosji nagan-ka antypolska nie przynosi ani chluby, ani pożytku.

„Polakożerstwo — kończy *La Revue Politique et Parlementaire* — jest nietylko krzywdzące: jest nadto wybitnie niepolityczne. Zadało ono cios śmiertelny neo-slawizmowi, który zamierzał skupić ludy słowiańskie dokoła wspólnej obrony przed zachłannością niemiecką".

Wogóle, zauważyć się daje od pewnego czasu we Francji wzrost krytycyzmu w stosunku do czynów i gestów północnego sprzymierzeńca, którego witano dotąd nad Sekwaną głośnym aplauzem albo milczeniem, pełnym respektu.

KRONIKA.

INSTYTUCJE POLSKIE W PETERSBURGU. W r. 1906 powstał tam „Sokół", mający obecnie jednak tylko 500 członków. Przy „Sokole" powstała czytelnia, licząca 2,000 tomów „Sokół" jest jedną z najżywotniejszych organizacji na gruncie petersburskim. „Związek polski lekarzy i przyrodników" istnieje od lat 5-ciu. Człon-

ków rzeczywistych liczy „Związek" 456, co jest liczbą b. pokaźną. Wykładów i sprawozdań naukowych wygłoszono dotąd 110.

Towarzystwo „Promień" istnieje od lat 4-ech. Celem zrzeszenia jest niesienie samopomocy członkom, których jest obecnie około 500. Z instytucjami polskimi w Petersburgu wiążą się katolickie. Najstarsze z nich jest gimnazjum męskie przy kościele św. Katarzyny, które istnieje od czasów Katarzyny II. Szkoła przechodziła z rąk do rąk: jezuitów, dominikanów, dziś jest w świeckich. Obecnie jest to 8-klasowa szkoła z prawami rządowych uczelni. Uczniowie polacy mają wykład religji w języku ojczystym; oprócz tego naukę języka polskiego w 1-ych czterech klasach, z wykładami piśmiennictwa polskiego w klasach wyższych. Z takich samych praw korzystają [illegible]

Dalej istnieje też gimnazjum żeńskie ośmioklasowe z prawami rządowymi. Uczennic liczy szkoła przeszło 400, przeważnie polek. Wreszcie kosztem rb. 13,000 utrzymuje zarząd kościoła św. Katarzyny 5 szkół początkowych, z których korzysta przeszło 700 dzieci uboższych katolików. Wspomnieć należy i o katolickiem stowarzyszeniu pedagogicznem, które liczy około 60 członków.

Naogół tameczne polskie sfery zamożne i inteligientne bardzo mało interesują się życiem kilkudziesięciotysięcznej gromady polskiej nad Newą, która poczyna podlegać rusyfikacji kulturalnej i językowej.

GALICYJSKIE KÓŁKA ROLNICZE. W ciągu 30-letniej swej pracy zgromadziło zrzeszenie w rękach swoich 1556 kółek wiejskich, zorganizowało mnóstwo czytelń, związało spólną myślą podniesienia dobrobytu włościańskiego — i zyskało 65,815 członków.

Ta poważna organizacja włościaństwa polskiego rozwija się z roku na rok, działając twórczo i wydajnie.

PRZEZNACZENIE „DARU GRUNWALDZKIEGO". Zarząd Tow. S. L. ogłasza, że pieniądze uzyskane przez „Dar Grunwaldzki" zostaną bezzwłocznie zużytkowane na cele kupna, budowy i organizacji szkół kresowych. Z funduszów tych zorganizowano dotychczas około dwieście szkół w Galicji wschodniej, zaś na zachodzie pobudowano lub nabyto kilka budynków szkolnych, jak w Bielej, Orłowie, Przywozie, Radwanach, [illegible] i Morawskiej Ostrawie.

Z PODLASIA. Statystyka urzędowa gub. Siedleckiej stale największy procent prawosławnych wykazuje w powiecie Włodawskim. Wysoki ów procent stąd pochodzi, że wójci gmin wszystkich b. unitów zaliczają do prawosławnych. W przededniu spodziewanej „Chełmszczyzny" lud wiejski z Włodawskiego codziennie po 150 listów poleconych nadsyła na imię gubernatora siedleckiego z zawiadomieniem o przejściu na katolicyzm. Zwykle podania takie opłacone stemplem za 1 i pół rubla, pozostają bez odpowiedzi; po miesiącu zaś, na mocy kwitu pocztowego, petenci żądają od proboszczów katolickich wciągnięcia ich na listę swych parafjan, do których *de facto* od urodzenia już należeli.

SZKOLNICTWO LUDOWE. Na zasadzie ustawy z dnia 12 czerwca 1900 r. istnieje w państwie rosyjskim, dla całego jego obszaru, „Kasa emerytalna nauczycieli i nauczycielek ludowych", której celem jest zapewnienie uczestnikom i ich rodzinom pensji emerytalnych niezależnie od tych, jakie im przypadać mogą na zasadzie praw ogólnych. Art. 78 ustawy Kasy głosi: „Dobrowolnymi uczestnikami kasy mogą być wszyscy nauczyciele i nauczycielki szkół początkowych, nie wyłączając szkół, utrzymywanych kosztem osób i instytucji prywatnych."

Przyjęci poprzednio w poczet uczestników kasy nauczyciele szkół prywatnych polskich otrzymują obecnie zawiadomienia treści następującej:

„Zgodnie z postanowieniem Rady ministra oświaty z dnia 2-go kwietnia r. b. Zarząd Kasy Emerytalnej ma zaszczyt zawiadomić Szanownego Pana, że jako nauczycielowi szkoły z wykładem w języku polskim i z programem o niższym, w porównaniu ze szkołami początkowemi rządowemi, zakresie, nie służy Panu prawo uczestnictwa w Kasie, a wpłacone składki mogą być Panu zwrócone, po wystosowaniu prośby w tej mierze."

Ponieważ władze naukowe wymagają u nas ścisłego przystosowania zakresu programu szkół początkowych prywatnych do programu szkół pocz. rządowych, że ścisłym uwzględnieniem instrukcji ministra oświaty z dnia 3 (16) grudnia 1905 r. i podług planu i programu, zatwierdzonych przez ministra oświaty 5 (1?) lutego 1905 r. a Ustawa Kasy Emerytalnej (§ 8) nie przewiduje ograniczenia w sprawach nauczycieli szkół polskich przeciwko rzeczonej decyzji zarządu Kasy, przysługuje skarga do Senatu rządzącego. (*Gazeta Warszawska Nr. 21*)

OFIARY.

Na rzecz T-wa popierania przemysłu ludowego od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, S. Pilarski rb. 1, W. Lenek rb. 1, A. Kozłkowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, R. Swietliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, S. Hoppen kop. 50, W. Zieliński kop. 50, S. Słojewski kop. 50, B. Swiestowski kop. 50, Ogółem rb. 57, kop. 25.

Książki nadesłane do Redakcji:

Włodzimierz Dzwonkowski: „Przyjaciel ludzkości. Warszawa wiosną 1794 r." Listy prezydenta Zakrzewskiego do Tadeusza Kościuszki. Warszawa, 1912

A. E. H. Lowe, profesor uniwersytetu oksfordzkiego: „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego". Z upoważnienia autora przetłumaczyli St. Kalinowski i Wł. Wojtowicz. Nakład Henryka Sindenfelda. Warszawa, 1912. Str. 226.

Świat i Człowiek. Wydanie nowe. Zeszyt II i III, z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1912. Cena rb. 1 kop. 60 i rb. 1 kop. 80.

Jan Hempel: „Doświadczenie religijne". Kraków. Odbitka z „Krytyki". Str. 26.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

[illegible]

z przesyłką poczt do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop 50 rocznie rb. 10

[illegible]

[illegible] santów codziennie, oprócz niedziel i świąt [illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Auto[illegible] dancji [illegible]

[illegible]

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

[illegible] wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w War[illegible] cji pisma i w kjoskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, **od** godz. 10 do 5 pp

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.